

ROCZNIK II. 1869. ZESZYT XI.

OJCIEC NIKON.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

PRZEZ

T. T. J.

(CIĄG DALSZY.)

XI.

Głęboka polityka.

Zawrzało w Polsce. Barskie ognisko wielką oświeciło się łuną i strzeliło do około promieniami, które do najdalszych krańców Polski dosięgły. Konfederacya oznajmiła się inaczej, aniżeli jej poprzedniczki. Uniwersały jej dotykały kwestyi żywotnych, zaręczały braterstwo dla dyzunitów, żydów, lutrów i kalwinów, i wzywały nie do sejmikowania, ale do występowania w pole; a wraz z uniwersałami rozchodziły się zbrojne hufce i zakładały nie koła, lecz obozy, zajmujące stanowiska militarne naprzeciwko stanowisk, które trzymały moskiewskie wojska. Po obozach odbywały się ćwiczenia wojskowe; po dworkach szlacheckich kobiéty i dzieci modliły się za ojców, mężów, braci i synów. Jeszcze bitew nie było; lecz było już to, co w samowtórnem spotkaniu zapaśników jest początkiem walki, przeciwnicy mierzyli się oczyma. Wojna była już rozpoczętą. Drobne zastępy konfederackie wzrastały łączącymi się z nimi ochotnikami i chorągwiami wojsk Rzeczypospolitej i prywatnych. W barskiej okolicy, otoczonej z daleka, od północy posterunkami moskiewskiemi, od zachodu koronnemi, z których pierwszemi dowodził jenerał Kreczetników, drugiemi regimentarz Dzieduszycki, snuły się większe i mniejsze oddziały, dążące pod komendy stawiącego czoło pierwszemu Giżyckiego i drugiemu Potockiego.

Giżycki stał w Starym Konstantynowie, Potocki w Husiatynie.

Olchowiec przeto, główny teatr naszej powieści, widywał codziennie prawie przeciągające zbrojne hufce, i często ponosił ciężary rekwizycyi, kwaterunków i podwód. Ciężary te wszelako nie dokuczały zbytecznie mieszkańcom, a to dla tego, że pan Kociuba, który w kościele barskim zrobił sobie *votum*, oddać wszystko ojczyźnie, wziął większą połowę ciężarów na siebie. Owies przeto i siano szły z jego toków, mąka z jego spichlerzy, bydło z jego trzody. Wszystko to wydzielała pani Kociubina, która objęła po mężu gospodarstwo, i prowadziła je przy pomocy starego Brodawki. I prowadziła dobrze. Każdy dzień zaczynała od modlitwy przed obrazem Matki Boskiej, odmawianej spólnie z dziećmi i domownikami, na uproszenie u Boga pomyślności orężowi i zdrowia mężowi, i kończyła modlitwą w tejże samej intencyi a zapełniała zajęciami, których wzór dał jej mąż. Często gęsto biedne kobiécisko w kącie zapłakało i z czerwonemi oczyma wyszło do ludzi; lecz przy ludziach, zwłaszcza przy własnych dzieciach, usiłowała nie okazywać na sobie ni smutku ni żalu, a to dla tej przyczyny, ażeby dzieciom nie dać złego przykładu. Synowie, gdyby łzy w oczach matki ujrzeli, mogliby pomyśleć, że smutną jest ostateczność służenia ojczyźnie;

córkom mogłoby się wydać, iż żałować należy tych, co pełnią obowiązek względem ojczyzny. Dlatego też, gdy się z mężem rozstawała, zaciągnęła go w kąt, do ostatniej izby za parawan, i tam padła mu do nóg, ręce jego, kolana i stopy okryła pocałunkami, słała się przed nim na podłodze, którą gorącemi zlała łzami; lecz gdy wyszła, oczy miała suche, oblicze spokojne, polecała go boskiej opiece i mówiła:

— Nie troszcz się o nic, jegomość... spełnię twoje rozkazanie i będę się starała pełnić moje obowiązki, jak ty pełnisz swoje... Byłam tobie posłuszną, gdy twoje oko patrzyło na mnie, będę posłuszną w twojej nieobecności...

Miała tę w początkach pociechę, że miewała codziennie prawie o mężu wiadomości, i często go nawet widywała; znajdował się bowiem w pułku pana Potockiego, który rozłożył się obozem o milkę, pod Husiatynem, w tem miejscu, gdzie Zbrucz formuje kolano wygięte ku zachodowi i opływa miasteczko od północy. Codziennie prawie szły fury z Olchowca do obozu; co drugi, trzeci dzień z obozu przyjeżdżał pan Kociuba, jak się wyrażał:

— W gości do jejmości.

Tej pociechy nie doznawali ojciec Nikon i Jerynka. Prokop nie dawał o sobie słuchu ni wieści. Rozliczając czas, jaki mu do spełnienia jego misyi był potrzebny, i biorąc na uwagę trudności, ojciec Nikon nie przypuszczał, aby on mógł być już z powrotem; Jerynka nie obliczała i dla tego zapewne przypuszczała możliwość powrotu brata, lecz się go lękała, a lękała się dlatego, że myśl jej wciąż zajęta była ślepym lirnikiem, tym człowiekiem nadzwyczajnym, którego ukochała, a który tak nienawidził Lachów. Gdyby Prokop powrócił, to na to tylko, aby przystać do Lachów. W głębi więc duszy radą była, że nie wraca; a jednakże pragnęła wieści od niego, od niego i od Tanasa. W jednym dniu, w jednej prawie godzinie odeszli; razem rozstała się z bratem i z tym, którego nie można nazwać „kochankiem“, ale czemś więcej, i obydwaj wpadli jak kamień w wodę. Nie mogła mieć nawet tej satysfakcyi, co dziewczyna w pieśni, co to wybiegała, gdy wojenne szyki przeciągały, i o miłego rozpytywała. Wojenne szyki codziennie prawie przeciągały; Jerynka nie wybiegała. Co ją tam obchodzić mogły szyki, na czele których jedzi może ten sam „szwargonisty“, co Tanasa rodzicom i rodzeństwu męczeńską śmierć zadał!

Ojciec Nikon się modlił i błogosławił rycerzom zdaleka.

Jerynka modliła się i skrycie płakała, a była taka smutna, taka bolejąca, jak kwiat lilii, któremu niebo odmówiło kropli rosy na orzeźwienie w słoneczną spiekę.

— O Boże! o Boże! — wzdychała.

Staruszek był najpewniejszy, że to tęsknota za bratem tak smutną ją czyni.

Aż pewnej niedzieli, kiedy dziewczyna z cerkwi powracała, zaszedł jej drogę nieznajomy jakiś człowiek i błysnął jej w oczy krzyżykiem.

— Ach! — radośnie krzyknęła i do nieznajomego przyskoczyła.

— Zdrów?... gdzie on?... jakie wieści przysyła?... — pytała.

— W imię przeczystej Bogarodzicy: przysyła rozkazanie.

Dziewczyna drgnęła, jakby tknięta złem przeczuciem, lecz natychmiast się uspokoiła i zapytała:

— Jakie?... mówcie!...

— Wyjdź w drugiem pianiu kogutów w sad, pod sam płot, co z polem graniczy.

Powiedziawszy to nieznajomy odszedł.

Łatwo sobie wyobrazić, w jakich męczarniach upłynęła dla Jerynki ta niedziela, która była dla ojca Nikona dniem wielkiej radości, w tym bowiem dniu czytał uniwersał konfederacki, wystósowany do dyzunitów. Staruszek się cieszył, ona nie mogła sobie miejsca znaleźć. Nudziła sama sobą, chodziła z kąta w kąt, kilkadziesiąt razy w ciągu dnia wybiegała do sadu, pod płot od pola, wyglądała wieczora, a gdy wieczór przyszedł, po biciu własnego serca rachowała sekundy, zbliżające ją do oznaczonej chwili. To, żeby nie miała pójść, ani jej do głowy przyszło. Tanas kazał, a Tanas nie byłże posłańcem Matki Boskiej? Gdy przeto drugie pianie kogutów słyszeć się dało, lekko jak cień przesunęła się przez świetlicę, w której spał dziadek, na palcach wyszła na ganeczek, przebiegła przez podwórko, wskoczyła przez płot do sadu, i wpadłszy po za berberysowy szpaler, pędem udała się w oznaczone miejsce, i dobiegłszy stanęła, mocno dyszała i oglądała się do koła.

Pod płotem rosły wysokie bzy, których głąb po nocy wydawała się zagadkową i straszną. Dziewczyna mimowoli zadrżała, zwłaszcza gdy w bzach dał się widzieć ruch i odezwało się syknięcie. Po syknięciu jednakże nastąpiło zapytanie:

— Jeryno, to ty?

Dziewczyna poznała głos.

— Boże! Dzięki tobie! — zawołała.

— Tsss — odpowiedział głos.

I wraz z tem stanął przed nią Tanas.

Jerynka drżała jak osikowy liść i miała pełną pierś radości i płaczu.

— Przyszedłem oznajmić ci naprzód wielką tajemnicę i wielką nowinę... Bogarodzica przywróciła mi widzenie.

Dziewczyna złożyła ręce jak do modlitwy, i wzniosła oczy do nieba.

— Ale o tem wybrani tylko mogą wiedzieć... Przyjdzie czas, że i inni ujrzą oczami własnemi cud, aby się w wierze utwierdzili; lecz ten czas jeszcze nie przyszedł... Modliłem się o ciebie do Bogarodzicy, i ona, Przeczysta, pozwoliła mi odkryć przed tobą tajemnicę, ażebyś wiedziała, że idąc za mną, idziesz za jej przykazaniem... Ale wiedz o tem,

że już ty iść musisz za mną do końca życia, jak powiedziano jest w piśmie: „Rzucisz ojca, rzucisz matkę i pójdziesz za nim“.

Dziewczynę ogarnęło takie uczucie, jakby ją aniołowie boży wzięli na ramiona i żywcem do nieba nieśli. Trzymała Tanasa za rękę i palce jej wpiły się w jego dłoń. To ciśnienie było snadź dla niego dostateczną odpowiedzią i poręką, bo tak ciągnął dalej:

— Ale pierwej dokończysz służby, która na twoją dolę przypadła...

Tu zamilkł. Dziewczyna szepnęła:

— Wszystko zrobię, wszystko... Och! ja taka szczęśliwa!

— W bzach znajdziesz trzy worki, zabierzesz je, i tak aby nikt nie widział, przeniesiesz do piwnicy i ukryjesz w najniedostępniejszem miejscu... A oto masz pismo.

Tu podał jej w kształcie listu z rozłamaną pieczęcią złożony papier.

— To pismo włożysz pod poduszkę ojca Nikona i będziesz miała staranie, aby ono zawsze na jednem i tem samem było miejscu.

— Ale pamiętaj—dodał tonem surowym i uroczystym— nie wolno ci jest zaglądać ani do worków ani do pisma i nigdy, przed nikim, choćby na największych mękach wyznać, zkąd one pochodzą, lub żeś je kiedy w życiu widziała... Bóg zeszle może na ciebie próby, będzie się może tobie wydawało, że dla uratowania siebie lub drogiej ci istoty, potrzeba wydać tajemnicę. Ty te próby przebyć powinna, dla zbawienia własnej duszy, dla zgotowania szczęśliwej na tamtym świecie przyszłości twoim, dla tryumfu świętej naszej prawdziwej wiary... Wyroki boże są niezbadane. Kto wie, jakie on, Wszechmocny, w mądrości swojej zgotował próby... Tyś je wszystkie przebyć powinna.

— O! — zawołało dziewczę — gdyby mnie spotkało to, co waszą matkę i siostrę, to nie wydam tajemnicy.

— Gdyby cię nawet to spotkało — odparł Tanas — a teraz niech cię Bóg ma w swojej opiece... Bądź zdrowa.

— Tak prędko?

— Nie mam czasu do stracenia... Jestem bożym sługą, a kto temu panu służy, tego momenty są drogo policzone.

Rozstali się.

Nie będę ja wnikał w stan duszy i serca Jerynki. Krótko go określę przez porównanie. Była ona podobną na pół do biblijnej oblubienicy, widzącej w oblubieńcu danego jej przez Boga pana, na pół do ewangielicznej niewiasty, co uwierzyła w słowo, uwierzyła bezwzględnie i bezwarunkowo, i bezwzględnie poddała się magiczności wpływu onego. Nie była ona sobą, była instrumentem, na którym grała wola mniemanego męczennika. Miłość jej przeto była egzaltacyą ducha, najwyższem zaślepieniem wiary. To też, niech nas bynajmniej nie dziwi, że się stała narzędziem bardzo złego człowieka.

Z tego tematu moglibyśmy wysnuć długą rozprawę; lecz spieszno nam do zdarzeń prowadzących powieść ku rozwiązaniu.

Dla uchwycenia nitki tych zdarzeń przerzucić się musimy z Olchowca do Tarnopola, gdzie się ściągały chorągwie wojska koronnego, i gdzie główną kwaterą stał regimentarz podolski, cześnik koronny Dzieduszycki.

Cześnik posiadał u szlachty pewne zachowanie, które zawdzięczał dwom połowicznym zaletom. Był to pół-pan i pół-szlachcic. Te dwie połowy złożone razem, tworzyły z niego dość sympatycznego człowieka, posiadającego i senatorską powagę i chudopacholską butę, w gruncie zaś cale nie złego, lecz gotowego jechać na każdem wózku, jaki mu kto podstawi. Zależało to od sposobu przedstawienia. W duszy jego podobnej do harfy, jak w duszy każdego niemal polskiego szlachcica, była mocno naciągnięta struna miłości własnej, której dotknięcie było koniecznem, ażeby harfa odezwała się pełnym tonem. Kto tę strunę pominął, brzęczała lecz półtonami. Kto ją przycisnął nie zbyt mocno, grała lecz cicho. Trzeba było uderzać jak najsilniej.

Kiedy się konfederacya barska zawiązała i akta swoje opublikowała, cześnik z uwagą czytał manifesty i uniwersały i zachwycił się niemi. Uznał ich sprawiedliwość, piękność i ważność. Cóż z tego! Przemawiały one do jego duszy, lecz nie potrącały struny miłości własnej, bo mogły zbawić Polskę bez Dzieduszyckiego. To, w przekonaniu jego — którego wszakże nikomu nie udzielał — stanowiło słabą ich stronę, i dlatego nie pogarnął się od razu do konfederacyi. Następnie przez jadącego w poselstwie do konfederatów Mokronowskiego dostał od króla wezwanie, ażeby trzymał wojska w kupie i baczył na nie. Usłuchał tego wezwania. Założył główną kwaterę w Tarnopolu, i obesłał chorągwie rozkazem ściągania się do obozu; w jakim celu? sam dobrze nie wiedział. Stawać przeciwko konfederatom, wzbraniało mu sumienie, stawać z konfederatami, wzbraniała mu miłość własna. Wahał się, pozostawiony samemu sobie na osobności; kiedy myślał o tem, w głowę się po chłopsku drapał, wąsy gniewnie targał; a przy ludziach perorował o obowiązkach względem ojczyzny, lecz byłby wielce zakłopotanym, gdyby go kto zapytał: na czem one zależą, czy na leżeniu do góry brzuchem, paleniu fajki i harcowaniu na arabskim koniu? czy na gadaniu na wiatr? czyli też na oświadczeniu się za tą lub za ową stroną?

Z wahania tego wyprowadził go Kwaśniewski, który przyjechał do niego od marszałka konfederacyi barskiej. Narowisty szlachcic zrazu gadać z nim nie chciał, lecz dał się uprosić, i gdy konfederackiemu wysłańcowi audiencyi sam na sam udzielił, palnął mu perorę o głupstwach, jakie wytwarzają jacyś tam gryzipióry (była to przymówka do Puławskiego), młokosy (była to przymówka do młodych

Puławskich), którzy się na rzeczy nie znają. Gniewał się i wykrzykiwał. Udobruchał się jednakże, gdy Kwaśniewski, cierpliwie wysłuchawszy powodzi słów, rzekł:

— Cześniku, ojczyzna liczy na ciebie...

— Ojczyzna!... ojczyzna!... kiep ten, co powie, że lepiej kocha ojczyznę, niż ja... a jednakże...

— Gdybyś ją wsparł twojem ramieniem...

— To coby z tego było?

— Powiedzianoby, że Dzieduszycki zbawił Polskę.

Wydało się to cześnikowi rzeczą wcale powabną. Zamilkł na chwilę, w zamyśleniu wąs gładził i nagle zapytał:

— Czegoż ostatecznie wasz marszałek odemnie chce?

— Ażebyś się za konfederacyą oświadczył i z chorągwiami komputowego wojska przy niej stanął...

Propozycya ta nie rozgniewała regimentarza partyi podolskiej. Zagadał o uniwersałach konfederackich; począł Michała Krasińskiego tytułować nie „wasz marszałek“, lecz „marszałek“, i od słowa do słowa wyrzekł stereotypowe:

— Pomyślę...

— Nie czas myśleć... — rzekł Kwaśniewski. — Mamy pewne wiadomości, że Moskale na nas wkrótce uderzą; a jeżeli nie Moskale na nas, to my uderzymy na nich... Cóż my poczniemy bez pomocy twego światła i twego ramienia?

— Aha! — zawołał regimentarz — jak bieda to do żyda... Przychodzi koza do woza i mówi mekiekie... Jam to przewidywał, czytając wasze manifesta i uniwersały.

W wyrazach tych brzmiało zadowolenie miłości własnej. Więc Kwaśniewski natarł o słowo i cześnik słowo dał uroczyste, rycerskie.

— Tylko — dodał Kwaśniewski — dobrzeby było, gdyby o tem Moskale nie wiedzieli, aż w ostatniej chwili, ażeby stosownie do tego nie zmienili swego szyku bojowego i nie ściągnęli większych sił przeciwko Potockiemu.

— To się rozumie — odparł Dzieduszycki — sztuką durniów tłuką...

Umówiwszy się następnie o sposób, w jaki się odbędzie połączenie obozu tarnopolskiego z obozem husiatyńskim, Kwaśniewski, pełen najwyższej wiary i otuchy, wyjechał do Baru w celu zdania sprawy ze szczęśliwie odbytego poselstwa.

Lecz konfederacki poseł — jak to powiadają — liczył bez gospodarza. Był pewny, że potrącił potężnie strunę miłości własnej dostojnego cześnika, a nie pomyślał o tem, że kto inny może ją potrącić jeszcze potężniej.

Po odjeździe Kwaśniewskiego przybiegł goniec z Warszawy i przywiózł cześnikowi kupę listów od króla i senatorów. Listów tych essencya była następująca:

W twojem ręku, zacny, rozumny i waleczny cześniku, spoczywa zbawienie ojczyzny, zależące na tem, ażebyś jak najprędzej zniósł oddział konfederacki, leżący obozem pod Husiatynem. Konfederacya jest głównym powodem, iż wojska moskiewskie wyjść z Polski nie mogą; wojska moskiewskie są głównym powodem, iż Repnin pozwala sobie na bezprawia i gwałty; bezprawia i gwałty ambasadora cesarzowej rosyjskiej są głównym powodem, iż Rzeczpospolita do poprawy przyjść nie może. Więc wszystkiego złego przyczyną jest konfederacya, mająca zamiary szlachetne, lecz nie mająca ani zastanowienia ani rozumu. Jest ona objawem narodowej słabości, gorączki, z której naród wyleczyć potrzeba jak najspieszniej: przez puszczenie krwi. Jest to ostateczność smutna, ale konieczna kuracya, którą przeprowadzić potrzeba szybko i energicznie. Nikt tego wykonać nie potrafi lepiej, jak ty cześniku, znany z patryotyzmu, rozumu i energii. —

Zacność, rozum, waleczność, patryotyzm i ene[illegible] przyznane mu przez króla i najwyższych w Rzeczy[illegible]litej dygnitarzy, perspektywa zbawcy ojczyzny, uka[illegible] przez króla i tychże dygnitarzy, sprawiły to, że [illegible]szycki odczytawszy listy, dłonią w czoło się uderzył głośno krzyknął:

— Ha! toż ze mnie dureń, żem dał temu błaznowi Kwaśniewskiemu słowo.

Lecz w treści samych listów znajdował usprawiedliwienie dania słowa; zawierały one bowiem w sobie jeden ustęp, który cześnika do żywego oburzył. Uwiadamiał go sam król, ażeby przeciwko konfederatom poczynał w porozumieniu z Moskalami. Cześnik Moskali nie cierpiał. Więc jak kot dmuchnął i skoczył, gdy ten ustęp przeczytał; długo sapał, długo głową kręcił i długo zastanawiał się nad następującym po nim długim ustępem, zawierającym motywa, czyniące porozumienie koniecznem i wielce użytecznem. Król pisał, iż tego wymagają względy wysokiej polityki, nie przystępnej dla umysłów poziomych, a mianowicie, że się przez to złoży dowód ufności do najjaśniejszej cesarzowej rosyjskiej, kobiéty wspaniałomyślnej, która nie omieszka za ufność odpłacić dowodem wspaniałomyślności i tem pewniej skłoni się do wyprowadzenia swoich wojsk i odwołania swego ambasadora z Polski; połączenie zaś usiłowań polskich z moskiewskiemi przyczyni się do tem prędszego poskromienia barskiej zawierzuchy. Dodawał przytem, że się spodziewa, iż cześnik nad tą koniecznością zastanowi się umysłem wolnym od uprzedzeń, przeszkadzających częstokroć do wykonania wielkich dzieł.

— Ha! — stęknął cześnik, wąs gładził i zadumał się.

I począł z umysłu swego, niby łupiny z cebuli, zdzierać jedne po drugiem uprzedzenia. Najprzód cesarzowę moskiewską oddzielił od Repnina; następnie trzymając się nitki rozumowania ściśle logicznego, i wojsko moskiewskie oddzielił od Repnina, i uczynił tego ostatniego przedmiotem całej swojej nienawiści. Załatwiwszy się z Moskalami, wziął na rozwagę słowo dane Kwaśniewskiemu. W jakim celu

dał to nieszczęsne słowo? Oczewiście nie w innem, tylko, ażeby zbawić Polskę. Z listów jednakże króla i senatorów pokazało się, jasno jak na dłoni, że zbawienie Polski nie na tem zależy, ażeby oświadczyć się za konfederacyą, lecz na tem, ażeby znieść obóz Potockiego. Jeszcze się wahał... Ale zestawił w umyśle swoim i porównał manifest i uniwersały konfederackie, nie zawierające w sobie ani nawet aluzyi do Dzieduszyckiego, z listami króla i senatorów, przyznającemi mu zacność, rozum, waleczność, patryotyzm i energię, i mianującemi go z góry zbawcą ojczyzny. Odezwał się w nim szlacheta, poklepany po ramieniu przez panów. Wahanie się pękło. Uroczyste, rycerskie słowo po-

Człowiek wszedł, pokłonił się głęboko i przy drzwiach stanął. Był to znajomy nam doskonale Tanas Lasiński, którego Dzieduszycki pierwszy raz w życiu widział.

— Co ty za jeden i czego chcesz?

Tanas zamiast odpowiedzi, podał pytającemu malutką karteczkę, na której wyciśniętą była pieczęć moskiewska i napisanemi były następujące wyrazy:

— „Pewny i wierny“. Podpisano: „Jenerał Kreczetników“.

Cześnikowi krew uderzyła do głowy. Wpatrywał się długo w karteczkę i nosem czmychał. Długo nie śmiał oczu na przybysza podnieść. Musiał pierwej w myśli przejść



Wyprawa Dzieduszyckiego na konfederatów pod przewodnictwem Lasińskiego.

częło blednąć, zbladło, zprzezroczyściało i rozpłynęło się w nic. Dzieduszycki grubo się zaśmiał, a powodem tego śmiechu było to, że w duchu sobie powiedział:

— Co to za potężną pomocą będzie mi słowo w złożeniu dowodu energii! Ani się spodziewają (rozumie się konfederaci), jak ich zdmuchnę!

I wymyślał konfederatów od durniów, błaznów, śmierdziuchów, młokosów, gryzipiórów, nawet łajdaków.

Wtem służbowy dał mu znać, że przybył jakiś człowiek, który powiada, że ma do niego interes bardzo pilny i ważny, i pragnie pomówić z nim na osobności.

— Niech przyjdzie... — była odpowiedź cześnika.

z powtórzeniem całe rozumowanie, które go do złamania rycerskiego słowa przyprowadziło; musiał pierwej w rodzaju konkluzyi wymyślać powtórnie od ostatnich konfederatów, nim się odważył oderwać oczy od karteczki i podnieść głowę.

Podniósł głowę, spojrzał dumnie na przybysza i rzucił mu zapytanie:

— Z czemże przychodzisz?

— Z pozdrowieniem dla jaśnie wielmożnego pana od jaśnie wielmożnego jenerała, który mi rozkazał oddać się jaśnie wielmożnemu panu na usługi, i dać mu w imieniu jenerała niektóre oświadczenia i objaśnienia...

— No?... Cóż dalej?...

— Jaśnie wielmożny jenerał oświadcza, iż pragnieniem jego jest, aby oręż rosyjski nie broczył się w krwi polskiej.

Znaczyło to: „Niech się Polacy własnemi zarzynają rękami“. Lecz cześnik zostając pod wrażeniem własnego rozumowania o różnicy pomiędzy moskiewskiem wojskiem a Repninem, nie poznał się na subtelnej doniosłości tego oświadczenia.

Ach! i dziś w tym samym sosie pływają nasi mężowie stanu... kierujący się wedle... oświadczeń... Lecz nie będę sobie pozwalał na epizody.

Cześnik po tem oświadczeniu przyjemniej spojrzał na posłańca, który tak dalej ciągnął:

— Pragnieniem jenerała jest, aby Polacy własną sprawę sami pomiędzy sobą załatwili; jeżeli jednakże jaśnie wielmożny pan potrzebuje spółdziałania wojsk jej imperatorskiej mości, to jenerał gotów jest uczynić zadość wszelkim żądaniom jaśnie wielmożnego pana, i czeka tylko na jego rozkazy.

— Poczciwe Moskalisko! — powiedział sobie cześnik w duchu — oddaje się pod moje rozkazy? Proszę?

— Powiedzże jenerałowi — rzekł głośno — że ja mu dziękuję za jego szlachetne sentymenta i że załatwię się sam...

— Póki jaśnie wielmożny pan nie poszle rozkazu wyraźnego, póty się jenerał nie ruszy. Kazał mi zwiedzić obóz pod Husiatynem, zdać sprawę z sił i stanowiska konfederatów, i jeżeliby tego była potrzeba, posłużyć za przewodnika.

— Hm!... — mruknął cześnik — cóż mi o siłach i stanowisku powiesz?

Tanas z wielką dokładnością, i z pewną nawet wojennej sprawy znajomością, podał wysokość sił i dał opis pozycyi i skazówki atakowania obozu. Nie radził iść na Czabarówkę, lecz na Trybuchowce, i przeprawić się przez Zbrucz poniżej Kuźmińczyka. Opowiadał, że obóz jest źle strzeżony, zwłaszcza, dodał:

— Od czasu jak się wieść rozeszła, że jaśnie wielmożny pan przystał do konfederacyi.

Tu przeszywającym na wskróś wzrokiem spojrzał czesnikowi w oczy.

Cześnik najprzód zbladł, potem poczerwieniał, w ostatku zerwał się z siedzenia i w wielkiej furyi krzyknął:

— Jakto! taka wieść się rozniosła?

— W obozie — odrzekł Tanas spokojnie.

Lecz tej odpowiedzi cześnik nie słyszał. Gniew mu słuch zastąpił.

— Łajdaki! łotry! — krzyczał. — Ja ich nauczę, co to znaczy głosić, że Dzieduszycki do takich parszywców przystał!

Przypomniał sobie, że Kwaśniewski zaproponował chować słowo w tajemnicy, i uważał wieść jako złamanie słowa przez Kwaśniewskiego, nie wchodząc w to, czy ta wieść nie urosła sama przez się, z przypuszczenia, wysnutego z dość licznych przykładów łączenia się chorągwi komputowych z konfederatami. To go we wściekłość przeciwko konfederatom i konfederacyi wprawiło, a zarazem we własnem przeświadczeniu, sumienie jego, pod względem złamania danego uroczyście słowa, najzupełniej uspokoiło. Złamanie za złamanie, wet za wet; tylko że cześnik czuł się upoważnionym swoje „wet za wet“ oddać z procentem. Więc się rozjuszył. Zaciskał kułaki i groził:

— Pokażę ja im! Pasy będę darł! Na wierzbach powywieszam! Dziesiątemu, setnemu będą zakazywali kon-fe-de-ro-wać się! Ho, ho! Nie Dzieduszyckiego kpinami wabić!

Tanas stał spokojnie, jak skamieniały.

Cześnik się wykrzyczał, wysapał i zapytał:

— A znasz drogę manowcami z Trybuchowiec do Kuźmińczyka?

— Z zawiązanemi oczymabym trafił...

— Więc będziesz przewodnikiem...

— Chętnie... tylko ażebym mógł i nadal służyć, potrzebaby, aby mnie nie widziano.

— Nic łatwejszego... Wyruszę dziś o północy, będę maszerował jutro przez cały dzień i przez noc, tak żeby przed świtem stanąć w Husiatynie... więc będziesz mi potrzebny dopiero aż w Trybuchowcach. Ruszaj że sobie przodem i czekaj tam na przybycie wojska.

Tanas się głęboko skłonił i wyszedł, a cześnik natychmiast zajął się przygotowaniem do wyprawy. Zwołał rotmistrzów, zapowiedział im pochód o północy, kazał opatrzyć konie, rynsztunek i oręż, i zaopatrzyć ładownice, sam zlustrował chorągwie, i o zachodzie słońca wszystko już było w pogotowiu.

O północy szyki polskie ruszyły na Polaków. Brzask dzienny oświecił je, gdy się w dolinę Hniezny spuszczały. W bladem świetle jutrzenki zabłyszczały zbroje i oręże. Chorągwie w porządku a cichości szły jedna za drugą, kozackie przodem, za nimi dragońskie, a w ostatku pancerne. Przed chorągwiami jechali rotmistrze. Żołnierstwo było milczące i markotne, bo ciężyła mu w myśli nierozwiązalna zagadka:

Do konfederatów! Czy na konfederatów?

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KRÓL DON-ŻUAN.

KOMEDYA W V AKTACH.

PRZEZ

ADAMA BEŁCIKOWSKIEGO.

AKT TRZECI.

Ogród zamkowy. Po jednej stronie skrzydło pałacu z małą galeryą, z której po kilku stopniach schodzi się do ogrodu. Noc.

SCENA PIERWSZA.

KRÓL (wychodzi z pałacu widocznie wzruszony, w lekkim negliżu). Tak długo każą mi czekać na siebie... to mię zaczyna niepokoić... Henryko, czyliż cię dzisiaj obaczę, ciebie tak piękną, tak mię kochającą? Obraz twych wdzięków palącemi rysy kreśli się w mojej wyobraźni!... Może nie zechcesz usłuchać mojej prośby i iść za Randzauem?... Ale darmo, nie mogłem znaleźć innego sposobu na czujność pani Kozel. Nieobecność moja w zamku przez dwie nocy wydała jej się podejrzaną, prześladowało mię zazdrością, jak bogini Juno swego małżonka. Na jej natarczywość, płacze i wzdychania nie było innego środka jak obietnica, że dzisiaj nie opuszczę zamku. Ale miałżem nie widzieć mię dzisiaj Henryko, gdy stanąłem tak blizko pożądanego celu? Słyszę szelest u furtki. Tak, to Randzau drzwi otwiera! (Postępuje kilka kroków naprzeciw przybywającym. Przychodzą Randzau i Henryka przebrana w kostium oficerski w płaszczu)

SCENA DRUGA.

KRÓL. HENRYKA. RANDZAU.

RANDZAU. Śmiało panno Henryko! Jesteśmy już na miejscu.

HENRYKA. Boże mój! Co ja czynię!...

KRÓL. Henryko!

HENRYKA. To on!... August!...

KRÓL (ściskając ją). Najdroższa moja... nie drzyj!

RANDZAU. Najj. Panie, wszystko poszło podług życzenia. Kostium, który przyniosłem, nadał się dla panny Duval, jakby dla niej robiony. Panna Henryka wprawdzie się wzdrygała...

KRÓL. O daruj mi, że wymagałem od ciebie podobnej ofiary. Nie mogłem dzisiaj wydalić się z zamku, a to przebranie było koniecznem dla odwrócenia uwagi.

HENRYKA. Czegóżbym nie uczyniła dla ciebie? Ty jesteś panem mojej duszy.

KRÓL. Randzau, w niebieskiej sali będziesz gotów na dalsze rozkazy. Pójdź Henryko.

(Król wprowadza szybko Henrykę do zamku).

SCENA TRZECIA.

RANDZAU. Otóż i ptaszek w klatce! Na honor, warto czasem być i królem! Gdyby też pani Kozel wiedziała, kto teraz przebywa w apartamentach królewskich! Jednakże cieszy mię to nie mało, że mogliśmy coś na złość jej uczynić. Ta kobiéta niedługoby nasz dwór w klasztor przemieniła swojem przesadnem wymaganiem, aby król jej tylko i interesów swojej korony pilnował. Takie jednostajne życie nie jest wcale zabawnem, a surowość kobiéty, czy ona jest naszą żoną czy kochanką, jednako nam dolega i zawsze powinna być przełamaną. Otóż moja pani siostro, bawimy się obydwaj, i król (o czem nie ma mowy), i ja, któremu to sprawia przyjemność, że mogę coś wbrew twojej woli uczynić. Teraz dopóki mnie król nie zawoła, mogę sobie przed jego drzwiami wygodnie wypocząć w fotelu. Któż tutaj idzie? (Pani Kozel wchodzi).

SCENA CZWARTA.

RANDZAU. P. KOZEL.

P. KOZEL (patrząc w okna zamkowe—do siebie). W pokojach króla pali się tylko lampa nocna... Wiem jednak z pewnością, że nie opuścił zamku. Dawałam baczność na bramę od ogrodu, a moja straż czuwa nad głównem wejściem.

RANDZAU (n. s.) A, pani Kozel! Wysuńmy się. (Chce odejść.)

P. KOZEL (spostrzegając go). Kto tu jest? To ty Randzau?

RANDZAU. Hm, hm, to ja.

P. KOZEL. Wracasz od króla?

RANDZAU. W tej chwili opuściłem jego pokoje i używam świeżego powietrza.

P. KOZEL. Czy król ciągle słaby?

RANDZAU. Tak jest. Już udał się na spoczynek.

P. KOZEL. Byłam o niego niespokojną, i chciałam spytać się p. Lebeau o jego zdrowie.

RANDZAU. Zawiadomię jutro króla o twojej pieczołowitości. Bez wątpienia będzie mu to bardzo przyjemne. Ale bądź spokojną i nie wyobrażaj sobie rzeczy w zbyt czarnych kolorach. Stan JKMości nie jest bynajmniej zatrważający, i może tylko to pociągnie za sobą, że król wstanie jutro cokolwiek poźniej niż zwyczajnie.

P. KOZEL. Natłok zajęć publicznych i zbytnia praca nadwątliły widać zdrowie królewskie.

RANDZAU. A tak, w tych czasach mamy bardzo wiele roboty. Nieprzyjaciel wciąż nam wisi na karku, a cała sztuka na tem, aby udaremnić jego zamachy.

P. KOZEL. Przez dwie nocy król miewał konferencye z siostrzeńcem prymasa...

Randzau. Które mogły go wiele zdrowia kosztować. Widziałem sam, była to sprawa gorąca.

P. Kozel. Z tego powodu chcę cię o coś zapytać, gdyż nie wiem, jakim sposobem trzeci już dzień nigdzie się nie spotkaliśmy.

Randzau (n. s). Ale ja wiem doskonale, moja pani.

P. Kozel. Powiedz mi Randzau, gdzie się król widywał z panem Towiańskim.

Randzau. Tego nie mogę żadną miarą uczynić. Przypuszczony zostałem do tajemnicy pod warunkiem, że z niej nic a nic przed nikim nie zdradzę.

P. Kozel. Mój bracie, powiedz mi, ja cię oto bardzo proszę.

Randzau. Ależ kochana siostro, czy nie pojmujesz, co to jest obowiązek honoru, co to jest tajemnica stanu?

P. Kozel. Otóż ja ci powiem, kiedy ty nie chcesz!

Randzau (n. s.) Czy tak? Na honor, to za wiele! (głośno) Żartujesz kochana siostro, o tem nikt nie może wiedzieć.

P. Kozel. Byliście w winiarni Duvala.

Randzau (n. s.) To mnie przestrasza!... Miałażby wszystko wiedzieć? (głośno) Wiadomości twoje są zupełnie fałszywe.

P. Kozel. O panie Randzau, jesteś gorliwym sługą króla! Czyli mam ci na to pokazać dowód?

Randzau (n. s.) Czyż ma zamiar wejść ze mną do pokojów królewskich? (głośno) Dowód? Zadziwiasz mię podobną mową.

P. Kozel (pokazując mu pugilares). Przypomnij sobie, gdzie zostawiłeś ten pugilares.

Randzau (n. s). W istocie u Duvala, zkąd ona mogła go dostać?

P. Kozel. Czy i teraz jeszcze będziesz mi przeczył?

Randzau. Ah siostro, przed twojem okiem nic się ukryć nie zdoła. Ale pojmujesz bez wątpienia, dla czego nie mogłem sam ci tego powiedzieć. (n. s.) Ciekawym, czy jej wiadomo, kto był siostrzeńcem prymasa.

P. Kozel. Randzau, kiedy raz pierwszy wychodziliście tam z królem, oświadczyłam ci, że was obu podejrzywam.

Randzau. A teraz widzisz, że całkiem niesłusznie...

P. Kozel. Przeciwnie. W domu Duvala jest bardzo piękna dziewczyna...

Randzau (n. s.) Zginęliśmy królu!

P. Kozel. Ty znasz ją zapewne... Randzau, przypuszczam że jesteś lekkomyślny, że możesz grzeszyć brakiem zastanowienia, ale się nie spodziewam, byś chciał kopać otchłań pod memi nogami. Odpowiedz mi sumiennie: czy tam z królem był siostrzeniec prymasa, czy też córka Duvala?

Randzau (n. s). Nic nie wie. (głośno) Widzisz kochana Gabryelo, do czego może doprowadzić nierozsądna zazdrość! Powiedziano, że wiara góry przenosi, ale jabym dodał, że i zazdrość umie toż samo. I gdzież to jest podobnem do prawdy, aby król, któremu na granicach grozi Karol XII., przeciw któremu wewnątrz spiskują malkontenci, który lada chwila może się spodziewać, że ci obaj jego wrogowie podadzą sobie ręce, wojnę i bunt podnosząc przeciw niemu, aby ten król zajęty tak smutnemi myślami, codzień martwiony, nękany, najnieszczęśliwszy jednem słowem, miał jeszcze myśleć o miłostkach i o jakiejś córce winiarza? Że pan Towiański wyznaczył mu schadzkę w domu Duvala, że ten Duval ma piękną córkę, a dodajmy nawet do tego, że król jest zwolennikiem piękności, z tego wszystkiego jeszcze nie da się wyciągnąć wniosek, aby król bywał u Duvala dla jego córki. Jeżeli więc to tylko leżało ci na sercu, to możesz już teraz powrócić do siebie i spokojnie zasypiać z tem przekonaniem, że król zanadto kocha swoją koronę i ciebie, aby jeszcze kimś więcej się zajmował. Dobranoc. (n. s.) Nigdy w życiu nie byłem tak wymowny.

P. Kozel. Zaczekaj Randzau!

Randzau. Jestem znużony, idę spać. (Odchodzi w ogród ku stronie pałacu.)

SCENA PIĄTA.

P. Kozel. Ci ludzie oszukują mię widocznie. Kto wie, co się kryje pod tą zasłoną kłamstwa? Może więcej niż nawet przeczuwam. I ta dzisiejsza nagła słabość króla? Oh, gdybym mogła się przekonać i niezbitym dowodem rzucić mu w oczy! Co to za szmer? jacyś ludzie na murze... spuszczają się w ogród... Czy to jaki fortel Augusta? Ludzie uzbrojeni... ha, może zamach na króla! Co czynić? Ukryję się tutaj. (Kryje się za klombem. Robert i Wilhelm przechodzą przez mur do ogrodu.)

SCENA SZÓSTA.

Robert. Wilhelm. P. Kozel.

Robert. No podziękujmy losowi, żeśmy z tego muru karku nie skręcili!

Wilhelm. Nie ma nikogo... To furtka, przez którą weszli.

Robert. Ale nareście powiedz mi, pocośmy ten mur przesadzili. Spotkałeś mię tu pod zamkiem i jak szalony, schwyciwszy mię za piersi, wołałeś: Robercie, brońmy honoru panny Duval! Robercie, ukarzmy zuchwalca! Ja przez przyjaźń dla ciebie i Henryki nie namyślałem się ani chwili, i nie badając cię bliżej, wykonałem wspólnie z tobą to salto-mortale. Jednak teraz chciałbym wiedzieć, dlaczego to uczyniłem.

P. Kozel (w ukryciu). Co słyszę? Mówią o Duvali.

Wilhelm. Niestety, moje przeczucie się spełniło! Henryka stała się ofiarą.

Robert. Wybacz, że cię i teraz nie rozumiem. Cóż mówisz o kochaniu Henryki?

Wilhelm. Tak ona kocha, musi kochać aż do szaleństwa, aż do poświęcenia swego honoru.

Robert. Lecz jakiż związek ma jej miłość z naszą bytnością na tem miejscu?

Wilhelm. Henryka jest tutaj...

P. Kozel. (j. w.) Henryka jest tutaj?

Robert. Tutaj? W królewskim zamku? Któż jej kochankiem?

Wilhelm. Randzau, przeklęty Randzau.

Robert. Randzau? Nigdy tego po nim nie uważałem.

Wilhelm. Ah, i ja długo byłem ślepy!

Robert. Zkądże się o tem tak nagle dowiedziałeś?

Wilhelm. Posłuchaj. Przedwczoraj w powrocie z komendantury placu, dokąd się na alarm stawiliśmy, udałem się do domu koło kamienicy Duvala, wiedziony widać złowieszczem przeczuciem. Była to już noc poźna, jednak w oknach Duvala jeszcze się świeciło. W tej chwili z jego domu wyszło dwóch ludzi wojskowych.

Robert. Aha!

Wilhelm. Nie mogłem ich jednak rozpoznać. Na drugi dzień, jak ci wiadomo, Henryka zupełnie się na sali nie pokazała; ojciec wymawiał ją przed nami, że jest trochę cierpiącą. To przypomniało mi wczorajsze zdarzenie i obudziło moją podejrzliwość. Kiedyśmy wreszcie wyszli od Duvala i rozstali się z sobą, ja powróciłem przed jego kamienicę. Po dwóch może godzinach wyszli z niej ciż sami dwaj ludzie; w jednym z nich poznałem Randzaua, drugi wydawał mi się nieznajomy.

Robert. Dotąd nie widzę jeszcze nic pewnego.

Wilhelm. Posłuchaj dalej. Dzisiaj od samego wieczora czatowałem na nich na ulicy. Jakoż w istocie przyszedł Randzau sam jeden. Czas jakiś chodziłem po ulicy jak szalony; możesz sobie wyobrazić, jakie uczucia mną miotały. Nareszcie nie byłem już panem siebie, wbiegłem do Duvala i nie zważając na jego opór i groźby przejrzałem całe mieszkanie. Henryki nie było nigdzie. Randzau musiał ją uprowadzić drugą bramą. Pogoniłem za nim w kierunku, w którym zwykle powracał, i tu przed tym murem ujrzałem, jak przez furtkę wpuścił kogoś przed sobą i sam wszedł następnie. Chciałem się rzucić na niego, lecz zabrakło mi czasu. Randzau już zamknął furtkę.

Robert. Więc nie widziałeś tego „ktoś“, który wszedł przed Randzauem?

Wilhelm. Nie, ale to była Henryka.

P. Kozel (w ukryciu). Ah, rozumiem teraz słabość króla.

Robert. Zaczynam po trochę wierzyć w prawdę twej powieści, chociaż dalibóg trudno mi ją pojąć. Miałażby Henryka posiadać w tak wysokim stopniu sztukę udawania i nas wszystkich oszukać? Wprawdzie Randzau ma przymioty i zdolności na uwodziciela, i płoche dziewczęta lubią tych świetnych kawalerów, których znać, kiedy idą przez ulicę; ale Henryka nie jest przecie płochą— do szatana — przynajmniej się taką nie wydaje. Miałożby prawdą być, że kobiécie nigdy nie można dowierzać? Gotowem stale trzymać się tej zasady, jeżeli teraz się przekonam, że się na pozorach zawiodłem.

Wilhelm. O, nie obwiniaj Henryki! Tysiąse jest na świecie sideł, w które niewinność wpada. Robercie, brońmy jej, może czas jeszcze, a jeźli ona już na dnie tej przepaści, z której nie ma ratunku, pomścijmy ją!...

P. Kozel (wychodzi z ukrycia.) Wasza zemsta jest sprawiedliwą.

Wilhelm. Kto tam?

Robert. Jakaś kobiéta.

P. Kozel. Cicho, mości panowie, nie róbmy hałasu. Ja wam nie myślę przeszkadzać w waszych zamiarach.

Robert. Kto pani jesteś i czego od nas żądasz?

P. Kozel. Ja was nie pytam, kto wy jesteście, i wy mnie o to nie badajcie, dość, że jestem waszym przyjacielem. Wiem, w jakim celu tu przyszliście, i pragnę równie jak wy ukarać tego nędznika...

Wilhelm. Randzaua...

P. Kozel. Tak Randzaua (wskazując na okna zamkowe). Henryka Duval jest tutaj. On przybył z nią tą furtką, i tędy będzie z nią powracał. Więcej nie potrzebuję wam mówić. (Do Wilhelma). Mości panie, masz do pomszczenia hańbę swej kochanki! (n. s.) Ja tymczasem będę czuwać nad wami, aby rzeczy do ostateczności nie doszły. (Wychodzi.)

SCENA SIÓDMA.

Wilhelm. Robert.

Wilhelm. Henryko, Henryko, jesteś więc zgubioną!

Robert. Kto mogła być ta kobiéta? Zdaje mi się, że znam ten głos... ale nie, to jakaś zapomniana kochanka Randzaua, która mści się za jego wiarołomstwo. Cicho! drzwi na galeryi się otwierają. Ukryjmy się.

Wilhelm. Sprawiedliwości niebieska, ty nam dopomóż! (Kryją się za drzewa. Król w kapeluszu i płaszczu, Henryka i Randzau wchodzą na galeryę).

SCENA ÓSMA.

Król. Henryka. Randzau. Wilhelm. Robert.

Randzau. Ostrożnie Najj. Panie, muszę najprzód zobaczyć, czy kto nie chodzi pd ogrodzie. (Schodzi w ogród.) Nie ma nikogo, jesteśmy bezpieczni. (Król i Henryka schodzą za nim.)

Wilhelm (w ukryciu.) To Randzau.

Król. Żegnam cię Henryko. Jutro Randzau przyjdzie znów po ciebie.

Henryka. Nie pogardzaj mną Auguście!

Król. Henryko, ty jesteś i zostaniesz dla mnie zawsze aniołem.

Henryka. Dzięki ci Auguście.

Król. Pozwól się odprowadzić przez ogród.

Robert (do Wilhelma). Czy widzisz Henrykę?

Wilhelm. Nie, oprócz Randzaua widzę dwóch jakichś mężczyzn; rozmawiają cicho, tak że nie mogę ich słyszeć. Uderzajmy. (Dobywszy szpady wychodzą z ukrycia. Tymczasem król, Henryka i Randzau przechodząc ogrodem przybliżyli się do nich.)

Robert. Stójcie, mości panowie!

Król. Co to jest!

Henryka. Wielki Boże!

Robert. Proszę robić jak najmniej hałasu i nie gniewać się o tę niespodziankę. Macie panowie do czynienia z porządnymi ludźmi, którzy pragną załatwić pewną honorową sprawę.

Król (ciszej) Nie lękaj się Henryko. Widocznie nie nas się to tyczy.

Henryka (d. s.) To głos Roberta.

Robert. Chcemy się rozmówić z panem Randzauem.

Randzau. Ja nim jestem.

Robert. Czekaliśmy tutaj na pana. Bądź łaskaw wydobyć swoją szpadę.

Randzau. Jakto? Mieliżbyście panowie ze mną jaką sprawę? (Do króla.) Niech WKMość na bok ustąpi. To wkrótce się zakończy. Widzę, że tu zaszło jakieś nieporozumienie, bo nikomu nie dawałem powodu do podobnej zaczepki. (Do Roberta i Wilhelma.) I czemże, mości panowie, mogę wam służyć?

Robert. Słyszałeś panie Randzau, bierz się do szpady!

Randzau. Tak, ja jestem Randzau i słyszałem już o szpadzie. Ale moi panowie, nie wiem zupełnie, nie mogę sobie przypomnieć, nie domyślam się, kiedy i jak mogłem kogo upoważnić do takiego żądania.

Wilhelm. Randzau, uwiodłeś Henrykę Duval, zhańbiłeś ją.

Henryka (n. s.) Ha!

Randzau. Kto? Ja?

Wilhelm. Ty. Jedno z dwojga musi nastąpić: albo ja wezmę twe życie, albo ty mnie zabijesz.

Król (n. s.) O to więc chodzi?

Wilhelm. Broń się, Randzau!

Randzau. Próżnobym widzę się tłumaczył, i chociaż mogę zapewnić, że wasz zarzut jest bezzasadny, jednak jestem gotów dać wam zadośćuczynienie. Ale zechciejcie obrać inne miejsce, bo nie wypada się bić na zamku królewskim.

Wilhelm. Nikt nas tu nie zdradzi, ani ta noc ciemna, ani żaden ze świadków, którzy jak widzę po ich szpadach, są ludźmi honoru.

Randzau. Dobrze. Muszę jednak prosić o pół godziny zwłoki. Jestem wysłany przez króla z ważnem poleceniem.

Wilhelm. Ani minuty zwłoki!

Randzau (idąc do króla.) Nie ma rady z tym szaleńcem. Muszę bić się zaraz. Niech WKMość odejdzie z Henryką. Na ten zgiełk mogą nadejść ludzie i znaleźć więcej, niżby się spodziewali.

Król. Nie, ja zostanę. (Do Henryki.) Musisz się ztąd oddalić. Wróć do pałacu—nie, udaj się do furtki i tam czekaj na nas.

Henryka. Zostawić ciebie w niebezpieczeństwie?

Król. Wszakże mnie żadne nie grozi. Należy koniecznie to uczynić.

Randzau (do Henryki.) Oto klucz. (Głośno:) Spełnij pan rozkaz królewski, skoro ci panowie nie pozwalają mi tego wykonać!...

Henryka. Niech Bóg nie dopuści nieszczęścia! (Wychodzi.)

SCENA DZIEWIĄTA.

Król. Randzau. Wilhelm. Robert.

Król (zbliżając się naprzód). Zostaliśmy teraz w równej liczbie, dwóch na dwóch.

Robert. Jakto, czy i pan chcesz do tej gry należeć?

Król. Być może. (Do Wilhelma.) Mości panie, mam powiedzieć ci słowo, na osobności. (Oddalają się od innych). Chciałeś się bić z Randzauem, ponieważ on uwiódł twoją kochankę?

Wilhelm. Tak, mój panie.

Król. Otóż ja ci powiadam, że jesteś w błędzie. Randzau nie uwiódł panny Duval. Jest ktoś inny, do którego mógłbyś mieć słuszną urazę. Ale i ten nie popełnił występku, o który go oskarzasz. On nie uwiódł Henryki, nie zhańbił jej, lecz ją pokochał i jest od niej kochany...

Wilhelm. I któż jest ten szczęśliwy!?

Król. Ja.

Wilhelm. Więc któż ty jesteś, panie?

Król. Pozwól, że zostanę nieznajomym. Nie powiem ci mego imienia, a nawet obowiązuję pod słowem, abyś zachował w tajemnicy tę rozmowę i całe dzisiejsze spotkanie. Nazwisko nie stanowi rzeczy, pragnąłeś bić się z kochankiem Henryki:— otóż stoję naprzeciw ciebie. Czy przystajesz na te warunki?

Wilhelm. Zgoda. Każde serce, które bije żywiej dla panny Duval, jest dobre na cel dla mej szpady. Robercie, daj pokój panu Randzau. Ja się z tym tu panem rozprawię.

Robert. Z tym drugim? Nie pojmuję...

Król. Randzau, daj mi szpadę, ja cię wyręczę.

Randzau (n. s.) Najj. Panie!

Król (n. s.) Daj pokój. (Randzau się cofa.)

Wilhelm. Henryka ciebie kocha?

Król. Tak, ona mnie kocha.

Wilhelm. Ty byłeś u niej przez dwie poprzednie nocy.

Król. Ja; a dzisiaj ona przybyła do mnie. Była tam (wskazuje na pałac). Przed chwilą widziałeś ją na tem miejscu. Ten oficer, który dopiero co ztąd odszedł, to była ona.

Wilhelm. To była ona!... Ah, chciałbym cię zabić! (Biją się. Król wytrąca szpadę Wilhelmowi.) Moje piersi otwarte — uderz!

Randzau (patrząc za scenę.) Jakieś światło się zbliża!

P. Kozel (za sceną.) Tutaj, tu! Czy słyszycie? (Wbiega, za nią lokaje z pochodniami.)

SCENA DZIESIĄTA.

KRÓL. RANDZAU. WILHELM. ROBERT. P. KOZEL. LOKAJE.

P. KOZEL. Brzęk szabel tuż przy królewskiem mieszkaniu... Niech Bóg zachowa króla od nieszczęścia. Na pomoc!

KRÓL. Nie wszczynaj pani napróżno trwogi, tu nic złego się nie dzieje.

P. KOZEL. Co widzę? Król ze szpadą w ręku! (n. s.) Sądziłam, że ten napad będzie tylko na Randzaua wymierzony...

ROBERT. Król?

WILHELM. Ha—król! Biada mi! (Robert i Wilhelm odkrywają głowy.)

KRÓL. Nie lękaj się Gabryelo. Nie otrzymałem najmniejszego draśnięciu. Walka, jaka się tu odbyła, była skutkiem nieporozumienia; wzięto mnie za kogo innego, kiedy wyszedłem na ogród dla odetchnienia świeżem powietrzem.

P. KOZEL. WKMość zapominasz o swojej chorobie, i nie uważasz, że na prędce ułożyłeś sobie całą powiastkę, której ja ani jednemu wyrazowi nie wierzę.

KRÓL. Jakto? Moja pani!

P. KOZEL. Daruj WKMość, ale ja ci opowiem, jak się miało rzeczywiście całe to wydarzenie. WKMość biłeś się z kochankiem Henryki Duval.

KRÓL (n. s.) Widziała się z nimi!

RANDZAU (n. s.) Najj. Panie, zaprzeczaj do ostatniego.

KRÓL. O jakiej Henryce Duval mówisz mi pani?

P. KOZEL. Niech WKMość będzie otwartszy. Widzisz, że jestem dobrze obznajomioną z całym przebiegiem tej sprawy. O, jestto piękna i rycerska rzecz, kruszyć kopie na cześć damy, którą się kocha. Henryka Duval powinna ci być wdzięczną, Najj. Panie, za podobny hołd miłości! Więc to jest prawda, że zostałam zapomnianą i wzgardzoną! Dlaczegoż WKMość ukrywałeś to przedemną? Przez litość, czy przez szyderstwo? Wy ludzie zepsuci, wy przywykli zdradzać nas i oszukiwać, sądzicie, że w nas nie ma serca, które umie czuć i przeczuć każde nieszczęście! Przypomnij sobie królu, że od pierwszej chwili mówiłam ci, o czem mię moje serce ostrzega. Wierzyłam napół twoim zapewnieniom, aż wreszcie przekonałam się o ich fałszu.

KRÓL. Czy i teraz mam ci powtórzyć, że się mylisz?

P. KOZEL. O, teraz WKMość nie możesz tego uczynić, teraz ja mogę postawić ci przed oczy dowód twojej zdrady, na który będziesz musiał zamilknąć.

KRÓL. Dobrze. Uczyń to Gabryelo.

P. KOZEL. WKMość jesteś nadto zuchwały. Henryka Duval była w twych pokojach, u drugich drzwi moja straż jej pilnuje, tędy nie mogła wyjść, bo na to nie pozwalały szpady tych ludzi...

KRÓL. Bardzo słusznie rozumujesz.

P. KOZEL (zwracając się do Roberta i Wilhelma.) Mości panowie, przed mojem przyjściem nie wyszła ztąd żadna kobiéta?

WILHELM. Nie.

P. KOZEL (do króla.) Henryka Duval ztąd nie wyszła, więc...

KRÓL. Więc?

P. KOZEL. Więc jest tam. (Wskazuje na pałac.)

KRÓL. Możesz tam pani iść i przekonać się.

P. KOZEL. WKMość pozwalasz?

KRÓL. Proszę. (Pani Kozel wbiega szybko przez galeryą do pokojów królewskich.)

KRÓL. Randzau, pospiesz do Henryki, uspokój ją ode mnie i odprowadź do domu.

RANDZAU. Muszę się pozbawić przyjemności widzenia kwaśnej miny pani Kozel. (Odchodzi.)

KRÓL (do Wilhelma.) Co do nas mój panie, nie załatwiliśmy jeszcze rachunku.

WILHELM. Najj. Panie, wiem na com zasłużył, targając się na twoją osobę.

KRÓL. Bądź jutro rano gotów na moje wezwanie. (P. Kozel powraca zmieszana i zawstydzona.) I cóż?

P. KOZEL (kłaniając się głęboko.) Przebacz Najj. Panie.

KRÓL (oddając jej ukłon.) Możemy zatem życzyć sobie dobrej nocy. (Odchodzi przez galeryę.)

P. KOZEL (spoglądając za odchodzącym.) O, jesteś bardzo zręcznym, mości królu! (Oddala się szybko.)

ROBERT. Dalibóg, nie wiem, poco zrobiłem dziś salto mortale. Wilhelmowi musiało się dwoić w oczach.

KONIEC AKTU TRZECIEGO.



KWIATY.

I.

POWÓJ.

ie jedna wesoła piosenka,
W wiosenne wieczory lub ranki,
Wybiegła z tego okienka,
Strojnego w białe firanki.

I śmiechu srebrnego kaskada
Ach nie raz! z owego pokoju
Spłynęła w okna sąsiada
Po wiotkich splotach powoju.

Natenczas ja byłem studentem,
I boski zajmował mię Plato,
I nad niejednym fragmentem
Ślęczałem zimę i lato.

Myślałem, pracując tak pilnie
I pisząc uczone rozprawy:
Że się dorobię niemylnie
Wiedzy, znaczenia i sławy.

Zły sąsiad, zły sąsiad był ze mnie!
Siedziałem jak więzień za kratą,
I klątem w duchu tajemnie
Sąsiadkę, piosnki i lato.

I nigdym nie patrzał w okienko,
Choć nieraz w niedzielę lub święto
Mignęła białą sukienką
W powoju kwiaty upiętą.

Napróżno wesoła figlarka
Rzucała do okna mi kwiatki,
Brałem do ręki Plutarka
Strzegąc się psotnej sąsiadki.

Dziś znowu po trudach i znoju,
Po wielu minionych już latach —
Mieszkam w tym samym pokoju,
I myślę czasem o kwiatach.

Nie myślę już więcej o sławie
W tej biednej izdebce pod dachem,
Lecz patrzę w okno ciekawie
Pojąc się wiosny zapachem.

Daremnie wyglądam, daremnie!
Dziś nic mi spokoju nie skłóci;
Ja jednak wzdycham tajemnie,
Cisza mnie gniewa i smuci.

Ach! teraz już puste okienko!
I nie ma w niem białych firanek!
Nikt mnie nie wabi piosenką
W majowy wieczór lub ranek.

I śmiechu nie słychać srebrnego,
I wszystko już leży w ruinie —
Ja wzdycham, sam nie wiem czego,
Myśląc o psotnej dziewczynie.

Zaginął ślad mojej sąsiadki,
I tylko zwieszony kapryśnie
Powój przynosi mi kwiatki,
Do okna gwałtem się ciśnie.

I motyl przyleci czasami
Pić słodycz z jasnego kielicha;
A ja się patrzę ze łzami,
„Gdzie ona?“ — pytam go z cicha.

Wspomnienie przeszłości pierś tłoczy,
Aż wreszcie żalami wybucha;
A motyl patrzy mi w oczy,
Na kwiatach siedzi — i słucha —

I szemrze miód pijąc z kielicha:
„Wszak mogłeś i kochać i marzyć?
„Kto napój szczęścia odpycha,
„Ten nie ma prawa się skarzyć!“

El...y.

WSPOMNIENIE HISTORYCZNE O KAZIMIÉRZU WIELKIM

Z POWODU ODKRYCIA I POCHOWANIA POPIOŁÓW JEGO W DNIU 8 LIPCA 1869.

Napisał Henryk Schmitt.

Gdy przed kilku tygodniami rozleciała się wiadomość po wszystkich zakątach ziem polskich, że przy odnawianiu grobowca Kazimiérza III. w katedrze na Wawelu odkryto popioły wielkiego króla, zadrgały serca nasze dziwnie rzewném uczuciem, ponieważ mogło się nam słusznie zdawać, że duch króla tego, który władając przed pięciuset laty Polską, wprawił swą mądrością i dziełami swémi w zdumienienie współczesnych i potomność, zjawił się nagle wśród narodu swego, aby go pocieszyć i nową natchnć otuchą, a tém samém nie dać mu upaść pod brzmieniem tak mnogich klęsk i niepowodzeń. Odkrycie tych popiołów drogich w chwili właśnie, gdy z jednéj strony Moskwa wszelkie wytęża siły, aby wydarłszy nam wiarę przodków, zagładzić narodowość naszę, a z drugiéj materyalizm, ułatwiający jej zamiary, wżera się gdyby rak w społeczność naszę, możnaby poczytać za cud prawdziwy, którym opatrzność chciała nas upomnieć, abyśmy nie wątpili o sobie i przyszłości ojczyzny, ale przeciwnie abyśmy idąc w ślady wielkiego króla, wzięli się łącznie i sumiennie do tej saméj pracy, jaką on niegdyś podejmował z tak pomyślnym skutkiem dla dobra narodu.

Chcąc lepiéj ocenić wielkie zasługi Kazimierza, przenieśmy się myślą do komnat królewskich, gdy dzielny ojciec jego Władysław Łokietek, otoczony radą koronną, dokonywał w d. 2. Marca 1333 r. burzliwego życia, a przy ostatniem pożegnaniu zaklinał go słabnącym już głosem, aby osiadłszy za zgodą narodu na tronie, był dobrym i sprawiedliwym dla poddanych królem, a z krzyżakami i innymi wrogami ojczyzny dotąd nie zawierał ugody, dokąd nie zwrócą jej dzierzaw wydartych. Kazimiérz liczący lat 23 zachował w żywéj pamięci te upomnienia ojcowskie, a chociaż w sprawie z krzyżakami i innymi nieprzyjaciółmi poczynał sobie pozornie wbrew życzeniu temu, wykonywał przecież w rzeczy święcie wolę ojca, ponieważ dopełniając w całéj rozciągłości pierwszej części jego poleceń, przygotowywał powoli środki, aby z niewątpliwym kiedyś skutkiem przystąpić do ziszczenia i drugiej tychże części. Przeświadczywszy się bowiem w ciągu ostatnich lat panowania ojca swego, na jak ciężkie niedole wojna z zakonem i Czechami mimo odnoszonych zwycięztw narażała Polskę, postanowił zaraz po objęciu rządów zapewnić jéj błogosławieństwa pokoju, aby przyszedłszy znowu do sił, mogła skuteczniéj odpierać zachcenia sąsiadów. Przewidywał wprawdzie z góry, że będzie musiał okupić pokój znacznemi ofiarami, skoro okaże przeciwnikom niezmyśloną chęć wstrzymania dalszego krwi rozlewu. Lecz rozglądnąwszy się w owoczesném położeniu i stanie królestwa, nie mógł się i na chwilę zawahać. Długie wojny i towarzyszące im łupieże i pożogi zmieniły znaczne przestrzenie w pustkowia niemal. Przemysł, podnoszący dobrobyt mieszkańców, ustał najzupełniéj, sprawiedliwość leżała odłogiem, a wśród zdziczenia powszechnego wylęgły się rozboje, gwałty i wszelkiego rodzaju bezprawia, niszczące do reszty kraj nieszczęśliwy. Trzeba zatém było goić rany i usuwać zło wewnętrzne, w czém wojna największą jest przeszkodą. Dla tego obrał Kazimiérz politykę pokojową, a za pośrednictwem króla węgierskiego Karola Roberta, ożenionego z siostrą jego Elżbietą, rozpoczął najprzód w Tręczynie układy z królem czeskim Janem, aby następnie tém łatwiéj przywieść do

skutku ugodę z zakonem krzyżaków niemieckich, którzy zdradą i przemocą przywłaszczyli sobie Pomorze i inne dzierzawy polskie. Mimo powinowactwa nie okazał Karol Robert w tém pośredniczeniu prawdziwéj życzliwości Kazimiérzowi, który mu zaufał, a uznawszy niezbędną dla Polski potrzebę pokoju, chciał go zawrzeć koniecznie. Już współcześni zarzucali mu zbytnią lekkomyślność w przyjmowaniu uciążliwych warunków, lecz przy głębszém rozważeniu owoczesnych okoliczności upada zarzut podobny. Kazimiérz zrzekł się praw swych do zniemczałego Szlązka, którego nie mógłby był odzyskać bez długiéj i uporczywéj walki z Czechami, a w dodatku dał potrzebującemu wiecznie pieniędzy królowi czeskiemu Janowi 20,000 grzywien za zrzeczenie się tytułu króla polskiego. Za to zyskał tyle przynajmniéj, że z tej strony nie potrzebował się obawiać zaczepki, gdyby przyszło się rozprawić z krzyżakami. Po załatwieniu wszystkiego z Czechem przystąpił Kazimiérz w Wyszogrodzie do rokowań z zakonem, który stojąc twardo przy swojém, nie chciał zrzec się żadnego z swych uroszczeń. Król nasz okazał i tu powolność, a zostawiając krzyżakom Pomorze, ziemie chełmińską i michałowską, domagał się zwrotu jedynie Kujaw i ziemi dobrzyńskiéj. Gdy za przyjęciem tych warunków oświadczyli się obaj sędziowie polubowni, t. j. król węgierski i król czeski, musieli się na nie zgodzić i pełnomocnicy krzyżaccy. Wielki mistrz atoli nie chciał ratyfikować ugody wyszogrodzkiéj, dokąd nie będzie miał w ręku zatwierdzenia tejże ze strony świeckich i duchownych panów i znaczniejszych miast polskich, mieszczącego w sobie zobowiązanie, że odmówią królowi posłuszeństwa, gdyby zamierzył rozpocząć z zakonem wojnę w celu odzyskania ziem tą ugodą ustąpionych. Dogadzając i temu żądaniu, zwoływał Kazimiérz kilkakrotnie panów koronnych, lecz nie mógł od nich uzyskać wymaganego potwierdzenia, a nawet przeciwnie musiał zezwolić na wytoczenie skargi przed stolicą apostolską na bezprawia i gwałty krzyżaków. Papież wyznaczył dwu legatów w charakterze sędziów, którzy wglądnąwszy w całą sprawę, skazali zakon na zwrot ziem przemocą zabranych i na wynagrodzenie szkód zrządzonych. Wyrok ten nie zakończył sporu, ponieważ przewrotni krzyżacy odwołali się do samego papiéża, a król nasz musiał po wielu zachodach i zwłokach zawrzeć (1343) w Kaliszu pokój z nimi na podstawie ugody wyszogrodzkiéj.

Uszczuplenie dzierzaw koronnych w stronie zachodniopółnocnéj zrównoważył Kazimiérz nabytkami w wschodniopołudniowéj przez wcielenie Rusi czerwonéj do korony. Ruś ta należała według świadectwa Nestora już za Mieczysława I. do Polski, a przechodząc następnie różne koleje, szczególniéj podczas rozkawałkowania Polski, oderwała się pod rządem własnych książąt od niéj, aby popaść w zależność tatarską. Przez 150 lat panowali w niéj tak zwani Romanowicze, czyli potomkowie Romana, księcia halicko-włodzimirskiego, poległego (1205 r.) pod Zawichostem. Ostatni z nich Jérzy II. był bezpotomny, a miał tylko siostrę rodzoną Maryę, wydaną za Trojdena księcia mazowieckiego na Czersku, i stryjeczną poślubioną z Lubartem Giedyminowiczem, który wziął zapewne w posagu część Wołynia. Jérzy przeznaczał dziedzictwo Rusi czerwonéj synowi Maryi, Bolesławowi, który dla podobania się wujowi zmienił był nawet swój obrządek religijny i na naleganie jedynie Władysława Łokietka wrócił na łono kościoła łacińskiego. To zaszkodziło mu tak dalece u przyszłych jego poddanych, że po śmierci Jérzego (około 1335 r.) woleli przyjąć z rąk hana tatarskiego dwu z kolei rządców, niż się jemu poddać. Sprzątnąwszy zaś obu trucizną ze świata, powołali Rusini Bolesława na księstwo. Lecz i jego rządy nie były długie. Gdy bowiem zaczął zbyt gorliwie krzewić obrządek łaciński, a przytém obcych wynosił na urzędy i dostojeństwa, struli go Rusini w marcu 1340 r. Ruś czerwona nie mogła wówczas utrzymać swéj niepodległości i musiała przejść pod panowanie jednego z sąsiadów. Zdrowa polityka wskazywała Kazimiérzowi konieczność wcielenia jéj do Polski, z którą i tak była niegdyś złączoną. Wyuczony jednakże doświadczeniem poprzednika, uszanował po jéj zajęciu przekonania religijne mieszkańców, a w dodatku przyznał im prawa i swobody, jakich nie mieli za swych książąt. Tém a nie mniéj urządzeniem Rusi w sposób polski zapewnił jéj z góry wszystkie swobody i korzyści, jakie sobie wywalczą inni obywatele koronni. A wtedy właśnie zaczęło się w Polsce powolne uwarunkowywanie władzy rządowéj króla. Sam Kazimiérz uścielił do tego drogę, gdy chcąc na wszelki wypadek ochronić Polskę od wstrząśnień bezkrólewia, z czego mogliby skorzystać jéj wrogowie, zapewnił (1339) siostrzeńcowi swemu Ludwikowi następstwo tronu, jeżeliby się nie doczekał własnego potomka męzkiego. Że zaś trzeba było na to przyzwolenia narodu, uzyskano je przyrzeczeniem, że Ludwik objąwszy rządy, będzie je sprawował według wyraźnéj z narodem umowy.

Zarzucano Kazimiérzowi, że w stosukach z dworem węgierskim poświęcał częstokroć interesa Polski dla dogodzenia planom dynastycznym najprzód Karola Roberta, a potém (od r. 1342) Ludwika. Lecz gdy się rozpatrzymy dokładniéj w powodach jego postępowania, upadną wszelkie niemal zarzuty podobne. O cóż chodziło tu Kazimiérzowi? Oto chciał wzmocnić Polskę przez sojusz wieczysty z Węgrami, a najstosowniejszem zdało mu się połączenie obu koron na jednéj głowie. Powołanie na tron któregokolwiek z żyjących jeszcze potomków Bolesława Krzywoustego, czy to z linii szlązkiéj czy z mazowieckiéj, nie mogło być korzystnem dla narodu raz dla tego, że wszyscy Piastowicze byli albo zniemczeni albo splamieni związkami z nieprzyjaciółmi ojczyzny, a powtóre że z ich wyniesieniem na tron państwo nie zyskiwało najmniejszego wzrostu potęgi.

Należało się przeto obawiać, że pod ich rządem Polska ani świéżo nabytéj nie potrafi utrzymać Rusi, do któréj posiadania Litwa i Węgry rościły sobie prawo, ani reszty dzierzaw swych nie ochroni od uszczerbku. Przyznanie zaś następstwa tronu Ludwikowi zapewniało Polsce nie tylko posiadanie Rusi czerwonéj, któréj mieszkańców mądry król nadaniem praw i swobód a nie mniéj ubezpieczeniem ich przekonań religijnych przywiązał do korony, ale oraz i pomoc przeciw wszystkim nieprzyjaciołom. Że Ludwik i za życia wuja i po śmierci jego nie bardzo się troszczył o dobro Polski, nie zmniejsza zasługi Kazimiérza w przewidywaniu przyszłości, a samo poźniejsze połączenie Litwy z Koroną przez związek małżeński córki Ludwika, Jadwigi, z w. ks. lit. Jagiełłą wskazuje najwymowniéj mądrą przezorność wielkiego króla. Nie poświęcał on bowiem interesów Polski jako państwa ze względu na szwagra lub siostrzeńca, chociaż pozornie przymrużał oczy, ilekroć ich zachcenia stawały w sprzeczności z témi interesami, ponieważ jemu szło o przyszłe wielkie korzyści narodu. Z tego téż względu wolał cierpliwém a zręcznem omijaniem, łagodzeniem draźliwych sporów utrzymać przyjaźne z nimi stosunki, niż zbytnią stanowczością lub odmową narazić je na zerwanie. Samo częste ponawianie układów o następstwo tronu i o Ruś czerwoną jest najlepszym tego dowodem.

W ciągu tych starań co do stosunków zewnętrznych poświęcał się Kazimiérz z największą gorliwością sprawom wewnętrznym swojej ojczyzny. Dzielny ojciec ułatwił mu w niejedném tę pracę, ponieważ pouchylał wiele przywilejów, szkodliwych ogółowi, i ukrócał zuchwałość możnych, wyłamujących się z pod przepisów ustaw. Zniewolony atoli do nieustannéj prawie walki z zakonem i Czechami, nie mógł dokonać zamierzonego odrodzenia ojczyzny, do czego zabrakło mu czasu, chociaż stosownémi rozporządzeniami powdrażał wiele zmian potrzebnych. Właściwą pracę w tém kierunku rozpoczął Kazimiérz i przeprowadził ją w znacznéj bardzo części. Dzięki doradcom, którzy w pierwszych latach panowania wspierali go swém doświadczeniem i biegłością w sprawach publicznych, zajął się Kazimiérz bardzo czynnie uporządkowaniem skarbu, tępieniem rozbojów i łupieztw i wprowadzeniem ścisłego wymiaru sprawiedliwości. Zadanie nie było łatwém, ponieważ wypadało zwalczać zakorzenione od dawna nałogi, przyzwyczajenia i nadużycia, a oraz uchylać przywileje, przynoszące pojedyńczym korzyść ze szkodą ogółu. Kazimiérz i jego doradcy musili sobie poczynać z największą sprężystością i z nieubłaganą nawet surowością, aby dojść do celu. Tępiono téż bez miłosierdzia rabusiów i łupieżników, a tym jedynie sposobem można było przywrócić bezpieczeństwo gościńców publicznych; co znów podnosiło przemysł, który potrzebuje koniecznie ubezpieczenia własności i owoców pracy, jeżeli ma się rozwijać we wszystkich kierunkach. Z przemysłem wzmagał się i handel, wymagający znów bezpieczeństwa osób i mienia obcych przybyszów, zjeżdżających do Polski z swémi towarami. Kazimiérz upewnił wszystkim to bezpieczeństwo a oraz wymiar sprawiedliwości w razie pokrzywdzenia. Że zaś żydzi, prześladowani najokrutniéj w owoczesnéj Europie, trudnili się handlem, a uzyskawszy od wielkopolskiego Bolesława Pobożnego (1264) przywilej chroniący ich osoby, mienie i obrzędy religijne od prześladowań, garnęli się tłumnie do Polski, rozszérzył (1334) Kazimiérz ów przewilej do wszystkich dzierzaw koronnych, i uzupełnił zawarte w nim zastrzeżenia, aby im tém skuteczniejszą upewnić opiekę ustaw. Wytrwałą pracą wprowadził król w znacznéj części ład i porządek w państwie, zwłaszcza gdy po zawartych z Czechami i zakonem ugodach mógł się zupełnie poświęcić sprawom wewnętrznym. Lecz po 13 latach usiłowań najwytrwalszych zostało wiele jeszcze do zrobienia. Dawał się szczególniéj czuć brak zbioru ustaw, wszędzie bezwarunkowo obowiązujących. Istniące bowiem ustawy i zwyczaje prawne nie zaradzały tej potrzebie raz dla tego, że inne w każdéj okolicy były sprzeczności z sobą i z rozmaitémi nadaniami praw wyjątkowych, a powtóre że nie określały nic stanowczo; co spowodowywało znów dowolność w wyrokowaniu sędziów, narażającą strony na ciężkie częstokroć pokrzywdzenia, i nastręczało możność niezliczonych nadużyć. Chcąc zatém kraj wydobyć z tego zamętu, kazał Kazimiérz zebrać i spisać wszelkie nadania, rozporządzenia, ustawy i zwyczajowe prawa, jakie tylko były w używaniu w obu głównych prowincyach państwa, tj. w Wielkiéj- i Małéjpolsce. Z tego powstały dwa statuta czyli zbiory ustaw i praw, a mianowicie wielko- i małopolski. Z polecenia króla zajęli się (1347) na walnym zjeździe w Wiślicy panowie i dostojnicy tak świeccy jak duchowni przetopieniem obu tych statutów w jeden i uzupełnieniem ich przepisami, które w skutek długiego doświadczenia okazały się niezbędnémi. Praca ta nie była łatwą, zwłaszcza że należało z obu statutów wybierać ustawy i przepisy najodpowiedniejsze celowi i położeniu kraju, a każda prowincya rada była swój statut utrzymać w całości. Grała w tém nie małą rolę i prywata również, ponieważ wszyscy uprzywilejowani a nie mniéj sędziowie, którzy znaczne dotąd z swych dowolności odnosili zyski, byli przeciwni uporządkowaniu sądownictwa i dokładniejszemu określeniu wszystkich stosunków prawnych. Kazimiérz przemógł wszystkie te zapory, a dzięki jego stanowczości przyszedł do skutku statut wiślicki czyli kazimierzowski, który mimo swych niedostatków i strón ujemnych jest najpiękniejszym zabytkiem ustawodawczym z XIV. wieku, i stał się podwaliną naszego ustawodawstwa następnego.

Statut wiślicki nie uchylił bynajmniéj tak zwanego prawa saskiego czyli magdeburskiego, którém się rządzili

osadnicy niemieccy miast i włości na mocy wyraźnego nadania. Prawo to uzyskiwali z początku sami tylko obcy osadnicy, ale poźniéj nadawali je książęta i królowie nasi miastom już oddawna zamieszkałym, lub pozwalali posiadaczom włości przenosić takowe z prawa polskiego na niemieckie, i zakładać nowe osady miejskie i wiejskie na tém prawie. We wszystkich tych wypadkach uzyskiwano między innémi prawo własnego sądownictwa, z czego wynikło, że gdy w kraju powstały wszędzie w osadach, rządzących się prawem niemieckiém, miejscowe sądy ławnicze, strony niezadowolone z ich wyroków wprowadziły ubliżający godności państwa zwyczaj odwoływania się do sądów ławniczych w Magdeburgu lub Hali. Kazimiérz, który sam nadawał prawo magdeburskie miastom, a między innémi i Lwowowi, zaradził (1362) temu nadużyciu ustanowieniem wyższych sądów dla rządzących się tem prawem w Krakowie, Poznaniu i Lwowie, i najwyższego trybunału pod bokiem swoim, w czém zakazał najsurowiéj wszelkiego odwoływania się do sądów zagranicznych.

Obrawszy zaraz z początku władania swego politykę pokojową, unikał Kazimiérz starannie wszelkich wojen, i dobywał wtedy tylko oręża, gdy był do tego zniewolony niezbędną koniecznością. Zajęcie szczególniéj Rusi czerwonéj naraziło go na częste walki z Tatatarami i Litwą, a osobliwie z niespokojnym i wiarołomnym Lubartem Giedyminowiczem, władającym na części Wołynia, którego zmuszał kilkakrotnie orężem do uległości i do zaprzestania najazdów na Ruś polską. Głównym zaś celem panowania jego było podniesienie dobrobytu i zamożności kraju i jego mieszkańców. Troskliwość jego w téj mierze była niezmordowaną. Ulepszeniem zarządu skarbu i udoskonaleniem gospodarstwa w dobrach narodowych powiększył niezmiernie swe dochody, z których mógł opędzać mnogie wydatki na cele publiczne, a mimo to nie rozrządzał żaden prawie z owoczesnych monarchów tak znaczną zapasową gotówką. Karząc niemiłosiernie gwałtowników i rabusiów, ubezpieczył przemysł i handel, przez co przysporzył krajowi ogromne korzyści. Bogaty skarb dostarczył mu środków do obwarowania wszystkich miast znaczniejszych, do lepszego umocnienia istniejących i budowania nowych zamków w miejscach dogodnych, do zakładania miast i wsi we wszystkich stronach kraju, do osuszania znacznych obszarów kanałami, do upiększania miast i dóbr narodowych licznémi i wspaniałemi gmachami. Jak był wielkim ustawodawcą, tak zasłużył i na miano wielkiego budowniczego, o którym mówiono słusznie, że objąwszy Polskę pokrytą lepiankami lub domami z drzewa, zostawił ją zabudowaną gmachami z cegły i kamienia. Każde z miast znaczniejszych zawdzięczało mu albo swe utwierdzenia murowane, albo jakiś gmach wspaniały, albo jak Lwów znaczne uposażenie w ziemi i nadanie praw i swobód, sprzyjających rozwojowi przemysłu i dobrobytu. Najużyteczniejszych i największych dzieł dokonywał Kazimiérz zwykle w latach nieurodzajnych, ponieważ w czasie głodu kazał w doskonale zagospodarowanych dobrach swych dawać zboże ludziom po nizkich cenach, za co odpłacali mu robocizną.

Jak wszyscy wielcy ludzie, którym opatrzność dozwoliła zasiąść na tronie, był Kazimiérz obrońcą i opiekunem słabszych przeciw mocniejszym. Przystępny dla wszystkich słuchał chętnie skarg ludu wiejskiego na nadużycia panów, a gdzie tylko się przekonał o słuszności zażaleń, pociągał winnych do odpowiedzialności. W statucie wiślickim zapewnił włościanom opiekę ustaw przeciw gwałtom panów, i wskazał wypadki, w których kmiecie mogli gromadnie opuścić włość z powodu nieludzkich i bezprawnych postępków pana tejże. Mimo wyraźnych zastrzeżeń statutu mogły się zdarzać mnogie nadużycia, a tak nie powinno zadziwiać, że włościanie często u króla szukali sprawiedliwości, któréj wymiaru im nigdy nie odmawiał Kazimiérz. Rzecz prosta, że to gniewało ziemian, którzy odpłacając mu się za opiekę chłopom udzielaną, przezwali go królem chłopów, a w dodatku wymyślili potwarczą bajeczkę, powtórzoną przez Długosza i następnych dziejopisów naszych, jakoby król ten wielki podmawiał skarżących się włościan do mszczenia się za swe krzywdy paleniem gumien i stodół pokrzywdzicieli. Do tak nędznego środka nie potrzebował się uciekać Kazimiérz, który dość miał w ręku władzy i potęgi, by i najmożniejszego z swych panów surowo ukarać, czego doświadczył na sobie Maciej Borkowicz, wojewoda poznański, skazany na śmierć głodową w zamku olsztyńskim.

Kazimiérz tak troskliwy o wszystko, co tylko zdołało się przyczynić do rozwoju pomyślności narodu i do postępu we wszystkich kierunkach, nie mógł pominąć najważniejszéj w tym względzie dźwigni, jaką jest oświata. Chcąc przyspieszyć rozwój oświaty, postanowił założyć główną szkołę czyli akademię, przezco spodziéwał się dostarczyć krajowi mężów uczonych we wszystkich zawodach, a szczególniéj biegłych prawników, których brak dał mu się uczuć przy układaniu statutu wiślickiego. Wyznaczywszy dostateczne fundusze na taką szkołę i zobowiązawszy Kraków do utrzymywania w całéj rozciągłości praw i przywilejów, jakie przyznał nauczycielom i uczniom, udał się do stolicy apostolskiéj z żądaniem, aby pozwoliła na utworzenie tej akademii. Zabiegi sąsiadów udaremniły starania jego, a dla tego powstała jedynie wyższa szkoła prawa we wsi Bawolu pod Krakowem, do któréj Kazimiérz sprowadził biegłych nauczycieli. Myśl zaś jego wykonał poźniéj z polecenia zmarłéj Jadwigi Władysław Jagiełło, gdy w roku 1400 otworzył w samym Krakowie akademię w całéj pełni.

Kto jak Kazimiérz w ciągu 37letniego panowania troszczył się nieustannie o dobro powszechne narodu,

musiał sobie zjednać przywiązanie jego w najwyższym stopniu. Gdy zatém w skutek upadku z konia na polowaniu we wsi Przedborzu król się rozniemógł, a po przewiezieniu do zamku krakowskiego w d. 5. Listopada 1370. czynnego dokonał życia, ogarnął żal i smutek całą Polskę, która w nim prawdziwego straciła ojca ojczyzny. Smutek ten objawił się najwymowniéj w owéj chwili, gdy w katedrze na zamku obyczajem dawnym przy grobowcu zmarłego po nabożeństwie żałobnem tłuczono tarcze herbowe i kruszono proporce, ponieważ dał się słyszeć jęk powszechny i płacz zgromadzonego tłumnie ludu. Łzy te świadczyły najlepiéj, czém był Kazimiérz dla Polski i jej mieszkańców, i wskazały stokroć dokładniéj prawdziwe uczucia narodu, niż najszumniejsze pochwały kaznodziejów urzędowych.

I dziś po 5 wiekach ozwało się to samo rzewne uczucie na wiadomość o odkryciu popiołów wielkiego króla, a z wszystkich ziem polskich ozwały się głosy z żądaniem, aby ponowne chowanie tych popiołów odbyło się z uroczystością, świadczącą, że to wielki akt pietyzmu narodowego.



Szczątki znalezione w grobowcu Kazimiérza Wielkiego.

Ta u nas niezwykła jednomyślność przeraziła rozmaitych panów, którzy nie mogąc już cofnąć ogłoszenia o odkryciu popiołów, zaczęli udawać cześć bałwochwalczą dla nich, aby tém śmieléj wołać, że świętych szczątków nie wolno kalać przyczepianiem jakiéjkolwiek demonstracyi politycznéj do obrzędu pogrzebowego. Były przytém gorzkie narzekania na demonstracyomanią, grożącą znów podobnie strasznémi następstwami, jak w r. 1861, i na nieprzerwalność powstania, niweczącą w szalonym zapędzie wszelkie owoce prac organicznych i spychającą ojczyznę w bezdeń nieszczęścia. Miotając klątwy na mniemanych demonstracyomanów, straszono pustémi frazesami, krwawem widmem rewolucyi, wylęgłém w chorobliwéj wyobraźni owych lubowników pracy organicznéj, którzy na prawdę nigdy nie zapocili czoła w sprawie narodowéj, a teraz lękali się nie na żarty, aby im nie przerwano przypadkiem owego dolce farniente, ochrzczonego szumnem mianem pracy organicznéj. Jeden z takich panów, który dotąd nie zadziwił narodu żadném dziełem wielkiém, czy to na polu politycznem czy w zawodzie literackim, ani mu też był przykładem poświęcenia, wystąpił z prawdziwie neptunowską groźbą: Quos ego.... przeciw demonstracyomanii, o któréj nikt nie myślał. Jeżeli zaś opatrzność dozwoliła po 5 wiekach odkryć popioły wielkiego króla, który z jednéj strony był obrońcą i opiekunem włościan przeciw nadużyciu panów, a z drugiej zabezpieczał ustawami mienie, osoby i obrzędy żydów, ściganych gdyby dzikie zwierzęta w reszcie owoczesnéj Europy, czyż wolno przypisywać demonstracyomanii chęć uczczenia tych popiołów najuroczystszym obchodem? Wolnoż przypisywać powszechną w téj mierze gotowość sztucznym podnietom, lub objaw czystego pietyzmu skalać nazwą demonstracyomanii? Nie ulega wprawdzie wątpliwości, że wszyscy kochający ojczyznę życzyli sobie, aby przy tych drogich popiołach przyszło do pojednania i zbratania zwaśnionych dotąd warstw społeczeństwa, lecz czyż takie życzenie ma uchodzić za występek?

Jakkolwiek płonne były te strachy, wywarły przecież tak silne wrażenie na komitet pogrzebowy w Krakowie,

że najprzód mimo powszechnego życzenia, objawionego i przez wydział krajowy we Lwowie, będący przecież najwyższą władzą autonomiczną kraju, aby pogrzeb odroczyć do sierpnia, komitet uparł się przy oznaczonym dniu 8. lipca; a powtóre, że wszelkich dokładał starań, aby ten akt pietyzmu narodowego do jak najmniejszych sprowadzić rozmiarów i odjąć mu wszelkie cechy wzniosłości. Jeżeli zaś stało się inaczéj, a cześć publiczna dla pamięci wielkiego króla objawiła się najuroczyściej, nie jego w tym zasługa.

Nie będę tu opisywał obrzędu pochowania szczątków Kazimiérza W., ponieważ wszystkie dzienniki podały już szczegółowe wszystkiego opisy. Powiem tyle jedynie, że mimo najszczytniejszego nastroju ducha spostrzegł każdy co krok jakąś niewłaściwość w poczynionych do tego obrzędu przygotowaniach. Obawa kierowników, aby broń Boże nie spowodować jakiéj demonstracyi, przebijała się wszędzie w tak rażący sposób, że musiała przykre sprawiać wrażenie. Było téż we wszystkiem coś oziębiającego; a tak nie należy się dziwić, że każdy wrócił niezadowolony, ponieważ uniósł przekonanie, że z rozmysłu odjęto obrzędowi ów urok, który powinien był potężnie oddziaływać na uczucia zgromadzonych tłumów ludności, i uprzytomnić im dawną świetność i wielkość ojczyzny, a tem samém gorętszą w sercach zaniecić miłość ku niej, przez co jedynie można wszystkich skupić w łącznéj pracy dla jéj dobra. Taka chwila działa potężniéj na umysły, niż czcze deklamacye o potrzebie prac organicznych, powtarzane ciągle a nie wykonywane nigdy, ponieważ w braku ducha poświęcenia i gorącéj miłości ojczyzny prace podobne są niemożebne, i w zyskowną jedynie dla pojedyńczych przedzierzgają się spekulacyę, osłanianą ślicznie brzmiącémi frazesami.

PO BURZY.

SZKIC POWIEŚCIOWY.

PRZEZ

ELPIDONA.

I.

Bawmy się.

Drogą, nakrytą chłodnym cieniem lip i włoskich topoli, poprowadzę was do tego białego dworu, który widać na wzgórzu. Dwór to świeżo postawiony, a więc bez pamiątek jeszcze, bez przeszłości, bez tych hieroglifów, jakie czas i ludzie pisać zwykli. Dwa skrajne jego skrzydła podniesione były na piętro; w środkowej części, nieco w głąb wsuniętej, był obszerny balkon na podniesieniu kilku kamiennych stopni. Balkon podpierały ciężkie doryckie słupy żłobkowane, około których wieszały się strzępiate liście dzikiego wina.

W chwili, w któréj wprowadzam was tutaj, na balkonie nie było nikogo; ostygły samowar, niedopita w szklankach herbata i bezładnie poodsuwane stołki każą nam się domyślać, że dopiero co wstano od herbaty. W pokojach nie zastajemy również nikogo; w salonie na posadzce i dywanach leżą porozrzucane zabawki dziecinne; szklanne drzwi prowadzące na ogród stoją otworem. Wejdźmy przez nie. Po ścieżce, wysypanej żółtym piaskiem, obejdziemy gazon obsadzony georginiami i klombami astrów, gwoździków i lewkonij, miniemy brzozową altanę stojącą w otoczeniu ciemnych świerków, i wejdziemy w lipową aleję. Aleja ta prowadzi nas samym brzegiem wzgórza, na którem dwór stoi. Odtąd wzgórze nagle obniża się, zsuwa i opada w dolinę; dlatego przez gałęzie lip można objąć okiem obszerny krajobraz, szczególniej w środku alei, gdzie umyślnie wycięto jedną lipę, aby otworzyć widok na okolicę. Z ławeczki darniowej, usypanej naprzeciw tego otworu pod ruchomem sklepieniem gęstych liści, można było objąć okiem więcej jak półmilową przestrzeń; widziałeś ztamtąd biały gościniec, ciągnący się między polami, po którym posuwali się ludzie jak mrówki i pędziły wózki otoczone kłębami kurzu, widziałeś każdy krzyż, każdą figurę przydróżną. Po za tem ciągnęły się szerokie pasy zielonych łąk, które przerzynała rzeka obrosła po brzegach wikliną; a dalej z falistych linii liściastego lasu sterczały wieże bernardyńskiego klasztoru. Nad całym tym krajobrazem rozpiął w tej chwili pogodny poranek błękitne niebo, przeciągnięte tu i owdzie lekkiemi obłoczkami niby białą pajęczyną.

W miejscu, zkąd ten piękny krajobraz się ukazywał w zielonych ramach lip, siedział teraz właśnie w krześle posuwającym się na kółkach bezwładny paralityk. Choroba zrobiła ze starca posąg nieruchomy, podobny do tych, co zdobią stare grobowce; twarz żołta, sztywna jak maska zachowała na całe życie niezmienny wyraz surowej powagi

i zamyślenia, tylko oczy pod siwemi krzakami brwi migały ruchliwie, niemi jedynie ów starzec żył i ruszał się.

Obok niego, oparta o poręcz krzesła, siedziała na darniowej ławce młoda kobiéta, córka jego w żałobie i czytała mu książkę. Z drugiej zaś strony na trawie, na białych pieluszkach leżało na wznak małe dziécię i wyciągało rączki w górę do piastunki pochylonej nad niem.

Łagodny, miły wietrzyk szeleścił listkami lipowemi, wśród splątanych gałęzi trzepotało się ptactwo wesołe, gwarne, a motyle blado-żółtemi skrzydełkami migały w słońcu i spadały na kwiaty. Śliczny to był ten obrazek pozłocony słonkiem, rozjaśniony uśmiechniętą twarzyczką dziecka; tylko niemoc starca i żałoba kobiéty zaciężyły na nim smutkiem.

Po kim nosiła żałobę młoda kobiéta? Nie po mężu, bo on żył; przed kilkoma dniami wyjechał był właśnie za interesami do gubernialnego miasta, i dziś go się spodziewano. Rozkaz oberpolicmajstra pozdzierał już dawno czarne suknie z ramion zasmuconych kobiét, zakazał tak zwanej patryotycznej żałoby; córka paralityka jednak nie była posłuszną temu rozkazowi, pomimo upomnień męża, że się naraża. Wolała zamknąć się w domu, nie wyjeżdzała zupełnie, byle tylko nie być zmuszoną do przemienienia stroju. Może robiła to z głębokiego przejęcia się klęskami, jakie niedawno kraj dotknęły, a może miała bardziej szczegółowe, osobiste powody, z których jednak nikomu się nie spowiadała. Głębiny serc kobiécych mają czasem swoje tajemnice, które umierają wraz z niemi niewypowiedziane nigdy. Kobiéta czytała ojcu z „Panowania Zygmunta III“ o spętanych carach i tryumfie hetmana. Starzec niewolnik słuchał z zajęciem dziejów świetności i chwały, oczy jego błądziły po okolicy lub zwracały się czasami na małą, bawiącą się dziecinę, a wtedy łagodniały w uśmiech i czułość.

Naraz wśród tej wędrówki oczy starca zatrzymały się na jednym punkcie krajobrazu.

— Henryk—wybełkotał niewyraźnie i pokazał wzrokiem na gościniec, na którym błyskał w słońcu elegancki powozik.

Młoda kobiéta przerwała czytanie, przyłożyła rękę do czoła i patrząc na drogę rzekła:

— Tak, to on.

W głosie jej nie było jednak zbytniej radości; czas jakiś patrzała za pędzącym powozem, aż kiedy skręcił w topolową aleę, wstała, położyła książkę i poszła na powitanie męża. Przed balkonem zatrzymał się powóz, wyskoczył z niego mężczyzna młody, przystojny, dobrze zbudowany; w ruchach jego była swoboda, w twarzy zadowolenie i wesołość. O charakterze jego niewiele mogę wam powiedzieć, nie był ani złym, ani dobrym, ani Kato, ani Katilina, ot zwyczajny człowiek, który umiał się stosować do okoliczności, żyć z ludźmi, umiał i lubiał bawić się i przyjemnie używać życia.

Pocałował w białe czoło kobiétę witającą go i rzekł:

— Byłbym wczoraj jeszcze wrócił, ale zatrzymałem się u Edwardów. Zastałem tam tłum gości, bawiliśmy się i tańczyliśmy do rana.

— I ty tańczyłeś? — spytała kobiéta robiąc duże oczy z zadziwienia.

— Cóż w tem dziwnego? Wszak wiecznie smucić się niepodobna, bo to na nic się nie przyda. Wiesz dobrze, że kiedy było potrzeba nie siedziałem z założonemi rękami, że nie cofałem się przed niczem; ale dziś gdy powstanie skończyło się tak fatalną katastrofą, mamyż wiecznie siedzieć na grobach jak cmentarne dziady i płakać? Smutek jest nieprodukcyjny. Nam trzeba otrząść się z tego, nabrać energii, ochoty do życia, weselić się.

— Ale z czego się weselić? — spytała smutnie.

— Z czego? Z czego? Alboż my naprzykład nie jesteśmy szczęśliwi? — mówił obejmując ją w pół i prowadząc do salonu. Posiadając ciebie nie mogę się smucić.

Rzekł i usiadłszy przy niej na kanapie całował ją i pieścił.

— Czy to nie szkoda — mówił po chwili Henryk — żeby taka młoda i piękna kobiéta tak smutne pędziła życie, wciąż w tej czarnej sukni, która ci połowę wdzięków kradnie? O! ja cię muszę rozruszać, rozbawić, dobrze?

A biorąc milczenie żony za przyzwolenie mówił dalej:

— Nawet przyznam ci się, że pewny twego przyzwolenia rozporządziłem się sam nieco, i rozochocony u Edwardów zapowiedziałem bal u nas i sprosiłem już gości.

Kobiéta spojrzała na męża niespokojnie.

— Żartujesz chyba.

— Słowo, że nie.

— Ale z jakiegoż powodu ten bal? — spytała Kazimira zakłopotana.

— Jakto? Zapomniałaś? Wszak pojutrze twoje imieniny.

— Co ludzie, co okolica na to powie?

— Zaproszeni bawić się będą z nami, a o innych nie dbam. No więc cóż? Czy moja pani zgodzi się?

— Zapoźno pytasz, abym mogła powiedzieć: nie; wszak już goście sproszeni.

— Dziękuję ci.

Tu przytulił ją do siebie. Kazimira nie broniła się; ale w twarzy jej widać było przymus, znękanie i cierpki grymas.

— Gdzież jest Adaś? — spytał po chwili mąż.

— Z piastunką przy dziadku.

— Chodźmy, tak dawno go nie widziałem, nie pieściłem, ztęskniłem się za nim.

Wziął żonę za rękę i poprowadził ją ze sobą do ogrodu. Przywitawszy starego paralityka, zwrócił się ku dziecku, wziął je na ręce i bawił się niem ucieszony, szczęśliwy.

— Patrz! — mówił do żony — czyż i tu nie mamy powodu do wesołości?

— Tobie ona nie wystarcza, gdy szukasz innej.

— Cóż to, wyrzuty? — spytał mąż niechętnie.

Kazimira nic nie odpowiedziała i odwróciła twarz w inną stronę.

— Cóż? — spytał paralityk wywróciwszy oczy do góry, aby mógł zobaczyć Henryka stojącego nad nim.

— Wszystko idzie jak najlepiej; w tych dniach wypadł wyrok na naszą korzyść, poczem niezwłocznie ma nastąpić wypłata z depozytu.— Rozmowa ta tyczyła się procesu o jakiś znaczny spadek, który trwał lat kilkanaście a ukończył się w tych dniach na korzyść teścia. Henryk w tym interesie właśnie był w mieście. Paralityk przymknął powieki na znak, że zrozumiał i że jest zadowolniony. Henryk tymczasem wrócił do bawienia się z dzieckiem, i szczebiotał z niem i pokazywał mu różne przedmioty dla rozrywki, to motyla latającego, to obłok na niebie, to gałkę błyszczącą na wieży.

Wśród tych igraszek spostrzegł na drodze trzy bryczki pędzące cwałem.

— Czy nie do nas goście—rzekł śledząc bryczki?— Ale zkądżeby? Nie znam koni... Może z Chwałkówki? Niewątpliwie do nas, skręcają do alei. Ktoby to był?

Położył ostrożnie dzieciaka na pieluszkach i pospieszył na powitanie przybyłych. Jakież było jego zadziwienie, gdy na bryczkach zajeżdżających przed balkon, zamiast gości ujrzał naczelnika wojennego, kapitana żandarmów, kapitana kozaków i ośmiu żandarmów, którzy wysiadłszy, rozstawiali się u bramy, przy furtce ogrodowej i przy innych wejściach. Henryk grzecznym uśmiechem maskując zadziwienie, zbliżył się do starszyzny i spytał uprzejmie, czemu ma przypisać przyjemność oglądania ich w swoim domu.

— Mamy polecenie z gubernii zrobienia ścisłej rewizyi w tych stronach — odrzekł oschłym tonem naczelnik wojenny, otyły, nizki, poważny Moskal.

— Jakiż powód?

— My nie na tłumaczenie, ale na rewizyę przyjechali— odpowiedział mu z gryzącą ironią rudy kapitan żandarmów.

Skinął na trzech żandarmów i wszedł z nimi do środka. We drzwiach prowadzących do ogrodu spotkał Kazimirę spieszącą za mężem.

— Doskonale— zawołał patrząc na jej czarne suknie — przy tej sposobności będziemy mieli małą kontrybucyjkę od pani. Wy Polki, nie mogąc publicznie demonstrować, w domach bunt podnosicie przeciw ukazom miłościwego cara.

— Co to ma znaczyć mężu? — spytała Kazimira na pół ze zdziwieniem, na pół z przestrachem.

— Nic duszko — odrzekł Henryk udając dobry humor i swobodę — jakieś małe nieporozumienie, w skutek którego ci panowie mają polecenie zrobienia małej rewizyjki u nas.

Ta mała rewizyjka jednak trwała kilka godzin, przetrząśnięto wszystkie pokoje, szafy, łóżka, schówki, przeszukano każdy krzak, każde drzewo w ogrodzie, stodoły, spichrze, naczelnik i dwaj kapitanowie byli obecnymi wszędzie; nie spuszczając się na ludzi swoich zaglądali sami w każde miejsce. Ciekawą była scena w ogrodzie, gdy rewidujący przechodzili około sparaliżowanego starca, który nie wiedząc o co rzecz idzie, widząc wrogów plądrujących w jego ogrodzie, patrzał na nich wzrokiem strasznym i groźnym; prości żandarmi jak na defiladzie idąc salutowali przed tym starcem posągowym, nieruchomym, tak imponowała im jego surowa powaga, za co zgromieni zostali przez starszych.

Gdy odeszli w inną część ogrodu starzec spojrzał na zięcia i spytał:

— Czego chcą?

— Rewizya.

— Czy po ciebie?

— A toż za co? — rzekł Henryk z uśmiechem i pewnością.

Starzec uspokoił się i zapadł znowu w odrętwienie.

— Może obawa ojca jest słuszną — szepnęła z drżeniem Kazimira.

— Dziecinną jesteś moja kochana. Za cóżby mnie...?

— Czyż potrzeba powodu rządowi, u którego bezprawie jest prawem?

— Przesadzasz moja droga; to się tylko tak mówi dla zagranicy, ale my wiemy, że tak nie jest. Jak nie mają źle się z nami obchodzić, jeżeli się buntujemy przeciw nim; toć trudno, żeby nas za to całowali. Ale kto im nic nie zawinił, tego prześladować nie będą, bądź pewna.

— Masz żywy przykład na ojcu moim, że tak nie jest. Spalono dwór, zniszczono nas, zrabowano, choć ojciec nie chciał do niczego należeć i był przeciwnym powstaniu.

— To inna rzecz, moja kochana. Tamto stało się w chwili walki, a klęski wojny dotykają wszystkich. Wracają już — dodał patrząc na ścieżkę, którą szli rewidujący umęczeni i niezadowoleni ze skutku rewizyi.

— Trzebaby ich zatrzymać na obiad.

— Ich? — spytała z naciskiem Kazimira.

— Bardzo naturalnie. Przecież nie wypada ich tak puścić.

— Wszak nie z wizytą przyjechali? Chcesz karmić i poić tych, co nas dręczą i prześludują?

— Ależ egzaltujesz się kochanie. Niepodobna przecież nie zachować form towarzyskich, zwłaszcza że to są ludzie, od których zależemy, nie jątrzyć więc ich, ale głaskać, łagodzić i ujmować należy. Proszę cię moja droga, każ zastawić śniadanie.

Kazimira odeszła ze spuszczoną głową ku dworowi,

Henryk zaś uśmiechnięty, uprzejmy jak wprzódy postąpił naprzeciw nadchodzącym ze słowami:

— No, panowie zapewne już ukończyli swoją czynność, jesteście pomęczeni, będziecie więc łaskawi spocząć nieco w sali; śniadanie czeka.

— Zaraz służyć będziemy—odrzekł naczelnik wojenny— ale musimy jeszcze według instrukcyi przejrzeć biórka, sekretarzyki, rozpatrzeć się, z kim państwo korespondujecie.

— Bo widzisz pan — mówił kapitan kozaków — którego obietnica śniadania udobruchała — jeden z waszych powstanckich, który w dobrej kryjówce lizał się rok cały prawie z ran, w chwili gdy policya padła już na trop jego, zdołał umknąć i przekradł się w te strony.

— *Nuraszkin małczy* — rzekł kapitan żandarmów — *za takoje rozhowory Sybir — znajesz?*

Kapitan poczerwieniał, palnął się nahajką po pantalonach jak dla ukarania za gadulstwo, i połknął w milczeniu komplement kolegi.

— Gdzie pan masz swoje papiery? — spytał naczelnik.

— Proszę panów.

Gospodarz zaprowadził ich do swego gabinetu, pootwierał biórka i szufladki, spokojny, pewny siebie.

— A teraz prowadź nas pan do sekretarzyka żony — rzekli po ukończonej rewizyi w jego mieszkaniu.

— Cóżby tam mogły być za tajemnice?

— To do pana nie należy. Chodźmy.

W salonie, przez który przechodzili, spotkali Kazimirę szukającą męża, wzrok jej był surowy, brwi ściągnięte, twarz rozgorączkowana oburzeniem.

— Henryku — rzekła — ci panowie robią nas więźniami w naszym własnym domu, żandarm nie chciał mnie wpuścić do mego buduaru.

— Taki miał rozkaz — odrzekł z brzydkim uśmiechem kapitan żandarmów, szerząc rzadkie bukszpanowe zęby — że też wy panie chwilki bez buduaru obejść się nie możecie. A pani co hołdujesz żałobie, powinnabyś wyrzec się sekretów toaletowych.

Wzgardliwem spojrzeniem odpowiedziała kapitanowi na jego złośliwą uwagę.

— Proszę o kluczyk od biórka — odezwał się naczelnik do Kazimiry.

— Po co?

— Mamy tam zrobić rewizyę.

— Ja nie dam, nie pozwolę.

Naczelnik uśmiechnął się pobłażliwie.

— W takim razie odbić każę zamki.

Kazimira zgnębiona temi słowami podała mu kluczyk. Żandarm otworzył szufladki i wyjął pęk fotografii, listów i różnych papierów. Kapitan żandarmów z roskoszą przysiadł się do nich, przeglądał, krytykował, robił swoje spostrzeżenia i uwagi. Kazimira blada z oburzenia jak ściana, Henryk jałowo, przymusowo uśmiechnięty stali opodal.

— A to co? — zawołał kapitan, wyjmując jakiś zakurzony zeszyt pamiętników — a to będzie coś ciekawego.

— Pan go czytać nie będziesz — rzekła Kazimira i przyskoczywszy schwyciła za manuskrypt, usiłując go wyrwać; kapitan jednak trzymał silnie drugą połowę w żylastych rękach, i patrząc z złośliwym uśmiechem na mocującą się z nim kobiétę, mówił powoli piekielną radością i zadowoleniem:

— Będziemy czytać pani; my musimy czytać, wszystko czytać.

— Tam są całkiem prywatne zapiski, które panów wcale obchodzić nie mogą — mówiła Kazimira rozogniona cała z wysilenia.

— Zobaczymy — wycedził powoli kapitan i pociągnął manuskrypt do siebie.

Kazimirze brakło sił, puściła pamiętnik i upadła zmęczona na fotel.

— Jeżeli tam rzeczywiście nie ma nic — wtrącił naczelnik widocznie wzruszony i zakłopotany tą sceną...

— Nic nie ma, panie naczelniku — odrzekła pospiesznie dziękując mu spojrzeniem za wstawienie się.

— W pamiętniku Polki żeby nic nie było o polityce?— odrzekł kapitan — A co nie powiedziałem — zawołał roztworzywszy dziennik i zaczął czytać:

„Dzień 16. Lipca. Okropny to był dzień — Moskale otoczyli...

Nie dokończył. Kazimira gwałtownie rzuciła się ku niemu i z niezwyczajną siłą wydarła mu pamiętnik. Kapitan zerwał się i poskoczył ku niej, sardoniczny uśmiech nie ustępował z jego ust.

— Pani oddasz te papiery — rzekł kłując ją szpilkowatym wzrokiem.

— Nigdy, nikomu! — odrzekła Kazimira, chowając manuskrypt w zanadrze.

— Oddasz pani z pewnością — mówił kapitan powolnym głosem—Aftanazy— odezwał się do stojącego za nim żandarma — odbierz!

— Oddaj dobrowolnie Kaziu — odezwał się Henryk odurzony tą całą sceną— po cóż się narażać? Wszak tam nie może być nic kompromitującego.—Chciał dalej mówić, ale Kazimira spojrzała na niego wzrokiem tak błędnym, dzikim, że reszta słów została mu w piersiach. Otoczona przez żandarmów Kazimira była podobna do otoczonej psami łani; oczy jej latały jak błyskawice straszne i trwożne zarazem, gotowe na obronę i szukające obrony; twarz jej zwykle blada przeszła w karmazynowe barwy, a usta miała zaciśnięte mocno. Rękami obtulała ukryte za suknią papiery, i cofnęła się przed zbliżającym żandarmem. Kapitan z upodobaniem pastwił się tym widokiem.

— Pospieszaj w siej czas! — zawołał na żandarma.

— *Pastoj!* — zawołał naczelnik.

Kapitan odwrócił się i pytająco, niedowierzająco spojrzał na mówiącego.

— Niech pani zatrzyma te papiery, one nam nie są potrzebne; ja wierzę, że w nich nic nie ma — rzekł do Kazimiry.

— A ja utrzymuję przeciwnie — odezwał się kapitan.

— Ja biorę za to odpowiedzialność całą na siebie — mówił naczelnik z naciskiem uderzając się po piersi ozdobionej krzyżem i medalami.

Kapitan zagryzł wargi i zwracając się do Kazimiry, rzekł:

— Powinszować pani, udał ci się manewr.—A widząc, że naczelnik i kapitan kozaków przeszli do sali jadalnej, podał z galanteryą ramię pani domu, katując ją grzecznością swoją. Odwróciła się od niego z pogardą i poszła ku oknu.

W tej chwili żandarm, wychodząc z sali, przez niezgrabność czy przez nieuwagę nadeptał we drzwiach małego psa, że ten skowyczeć począł. Kapitan z matczyną pieczołowitością wziął psa i począł go uspokajać i głaskać.

— Ty durak! — zawołał na wylękłego żandarma — kak ty śmiał takiej maleńkiej sobaczce taką przykrość zrobić? Podawaj oliwy, nasmarujem łapkę; biedna sobaczka — i począł całować i tulić psa.

— Pan kapitan lubi psów? — odezwał się gospodarz.

— Nie tylko psów, ale wszystkie zwierzęta. I nie mogę przenieść tego na sobie, skoro kto zwierzęciu krzywdę robi.

— Iwan Pawłowicz — odezwał się kapitan kozacki z wyładowaną wędlinami gębą — wy ponoś należycie do takich ludzi, co się do zwierząt zapisali?

— Da pleciesz, głupi Nuraszkin, a ne znajesz niczewo. My się zapisali do towarzystwa, co zwierzęta wzięło w opiekę, by je nie katowano, jak to u was w Polsce się dzieje — dokończył zwracając się do gospodarza.—Litość bierze patrzeć, jak wy się obchodzicie ze zwierzętami a niedawno temu z chłopami. Dopiero postępowa Rosya musi to wszystko u was naprawiać. To się wam nie podoba, i dlatego bunty robicie. Co? prawda?

Henryk wprost zagadnięty nie wiedział co powiedzieć, kiwnął tylko głową i dyplomatyczne zachował milczenie.

— I do czego was to doprowadzi? — mówił dalej Milutyniec rozwijając swoje teorye polityczne—siebie niszczycie, Rosyę niepokoicie, ale jej zrobić nic nie jesteście w stanie, bo Rosya jest tak silną, że Europa drzy przed nią.

— *Jej Boh!* — zawołał z uniesieniem kapitan kozacki.

— Niedawno temu — ciągnął dalej Iwan Pawłowicz — Rosya chciała się zapożyczyć w banku angielskim, nie z potrzeby, bo ona mogłaby banknotami świat zasypać, ale tak dla próby. Anglia się boi i dać nie chce, bo zna, że Rosya jest tak silną, że mogłaby nie oddać.—Kapitan mówił to wszystko na seryo, z apostolskiem namaszczeniem otwierając gardło mocno.

— To i cóż was Polaków czeka innego, jak zlać się z nami? Wszak my Sławianie wszyscy, mowy nasze takie zbliżone; słuchajcie tylko świętej Rossyi, a możecie przy niej jeszcze coś znaczyć. Jacy wy głupcy, że wy nierozumiecie swego interesu! Porzućcie Niemców, zachód, a Niemcy i zachód będą waszemi tj. naszemi.

I zaczął nucić:

W pachod', w pachod' marsz rebiata,
Na pobitie reszty świata
Szle nas Boh i — — —

Tu się zatrzymał chwilę, potem dodał zamiast car — postęp. Naczelnik Brinken spojrzał na niego z pod brwi. Kapitan, choć już napity, dostrzegł to spojrzenie i wytrzeźwiał od niego jak od zimnej wody; począł się poprawiać i tłumaczyć.

— Dziś Rossya — mówił — niesie sztandar cywilizacyi. Car uwłaszczył i oswobodził włościan, równość u nas znalazła siedzibę. Rossya dziś przodować musi, bo ma najżywotniejsze siły.

— Da, da, dwa miliony sołdatów — wtrącił Nuraszkin chcąc także należeć do rozmowy.

— Jest najmłodszym, najświeższym narodem w zbutwiałej Europie, dla tego wy — obejrzał się wkoło, ale gospodarza, do którego głównie ta cała propaganda zmierzała, nie było w pokoju.

— Nie w smak Polaczkowi ta mowa, buntowszczyk — syknął — nie przekonasz ich, nieprzerobisz, jedynie tępić trzeba.

To mówiąc pociągnął znowu wiszniaku i gładził sobaczkę.

Henryk tymczasem wrócił do sali, gdzie zastał żonę podpalającą świécą na kominku swoj manuskrypt.

— Wypadałoby ci się pokazać jako gospodyni.

— Czy drwisz? spytała.

— Mówię na serjo; wszak masz pewne obowiązki wdzięczności dla naczelnika.

— Że na chwilę był człowiekiem — rzekła z gorzką ironią.

— Lubo z drugiej strony niepotrzebną była ta cała scena z manuskryptem, był to czysty upór z twej strony.

— Być może — odrzekła w zamyśleniu oparta o kominek i zapatrzona w ogień, który wężykiem obejmował manuskrypt, wciskał się między pojedyńcze kartki i wyżerał w nich ścieżki dla siebie.

— Dlaczego palisz ten manuskrypt?

— Aby go nikt więcej nieczytał.

— Nawet ja?

— Nawet ty.

Henryk spojrzał na żonę podejrzliwie, badawczo.

— Nie myślałem, że masz względem mnie jakie tajemnice.

— Niebyły niemi, dopóki niezostałam twoją żoną.

— Więc to o nim było. Rozumiem.

Turkot powozu przerwał rozmowę.

— Ktoś przyjechał — rzekł.

— To po mnie zajechano.

— Więc jedziesz?

— Do klasztoru. Mam interes do księdza gwardyana.

Czas jakiś stała jeszcze czekając, aż się zetlą ostatnie kartki; wtedy dopiero odeszła od kominka i ubrawszy się pożegnała Henryka. Odprowadził ją do powozu, potem wrócił do sali, zbliżył się do kominka i wziąwszy z niego garść zwęglałego papieru szukał pilnie, czy jaki niedopalony kawałek nie zaspokoi jego ciekawości. Napróżno. Ogień pożarł tajemnice jego żony.

Tymczasem powóz wiozący Kazimirę zbliżał się do klasztoru bernadyńskiego, stojącego wśród lasu. Uprzedzimy go nieco i wejdziemy do mieszkania księdza gwardyana. Składało się ono z dwóch celek, drewnianemi meblami ozdobnych; książki nabożne, żywoty świętych, krucyfiks, kilka obrazów świętych, klatka w oknie zapełniały mieszkanie. Sam gwardyan był ciekawym człowiekiem: rosły, muszkularny, korpulentny, z twarzą marsowatą, z rozkazującym, donośnym głosem, wyglądał raczej na żołnierza niż na mnicha. Mówiono nawet o nim, że podczas ostatniego powstania zrzucił habit mnicha i służył w kosynierach; dochodzono nawet tego urzędownie, ale gwardyan wylegitymował się, że był wtedy na objeździe klasztorów, i cała sprawa jakoś przycichła; zwłaszcza, że ksiądz gwardyan mimo żołnierskiej postawy i rycerskiego ducha odznaczał się pobożnością i pięknemi chrześciańskiemi cnotami.

W chwili, gdy do jego celi wchodzimy, zastajemy u niego jakiegoś pół z miejska, pod z chłopska ubranego człowieka. Był to karbowy z majątku pana Henryka.

— Więc za spokój jego duszy? — pytał gwardyan karbowego chodząc zafrasowany po celi.

— A tak, proszę jegomości, bo to był uczciwy i łaskawy pan.

— I nie mogliście go byli ocalić?

— Gdyby człek się był ofiarował zginąć pod batami, to możeby go nie byli znaleźli; ale pan Bóg widać niepozwolił mi taką śmiercią umierać; zląkłem się, wspomniałem sobie żonę i dzieci w chałupie, i wyspiewałem wszystko. Nie mam sobie wiele, proszę jegomości, do wyrzucenia, a jednak spokoju se znaleść od tego czasu nie mogę, szczególniej, gdy ma nadchodzić ten dzień, w którym on tak marnie a tak okrutnie zginął.

— I dawno się to stało?

— Jutro dwa lata będzie. Jegomości wtedy nie było w klasztorze. Pamiętam jak dziś przyjechał do naszego dworu ubrany po ułańsku; przyjechał zobaczyć naszą panienkę, za którą się stęsknił; gdy naraz dają znać, że Moskale obsadzili wieś. Pan Floryan chciał siadać na koń i przerznąć się przez straże, ale panienka na to nie pozwoliła i prosiła go, aby został i ukrył się. Na nieszczęście swoje i moje usłuchał; skrył się w narożnym pokoju w jakiejś schówce. Niezadługo żołnierze pijani otoczyli dwór, a kapitan z kilkunastoma poszedł na rewizyę. Musiał się nieborak nie czuć pewnym w swojej kryjówce, bo naraz zobaczyliśmy go wyskakującego oknem wprost na najeżone bagnety, czego nieprzewidział. Szczęśliwie mu się jednak to udało; bo wnet zerwał się na nogi, wypalił kilka razy z rewolweru do usłupiałych żołnierzy, przeskoczył płot i obleciawszy ogród schował się do gumna, które właśnie otwierałem. Nie zadługo nadbiegli żołnierze i ich starszy, i nuż pytać i grozić, bym wydał, gdzie zbieg uciekł. Zaparłem się, że go widziałem. Wtedy starszy kazał mnie rozciągnąć na ziemi i bić, póki go nie wydam. Zaciskałem zęby, odmawiałem pacierze; ale ból był silniejszy odemnie, i pokazałem palcem miejsce schronienia nieszczęśliwego. Żołnierze rzucili się do gumna; głos starszego ich wstrzymał, bał się widać, że obsaczony bronić się będzie.

— On sam wyjść musi — rzekł i kazał rzucić ogień i podłożyć go pod gumno.

Ogień szybko obejmował suche chrusta i słomę; żołnierze z nabitą bronią, z najeżonemi bagnetami stali koło ognia i czekali; my ze zgrozą i strachem przypatrywali się temu zdaleka, a panna Kazimira mdlała na rękach służących. Ogień objął już całą stodołę, a pan Floryan się niepokazał; może dlatego, że mu wszystko jedno było ginąć od ognia czy od kuli, może też dym wcześnie go zadusił. Gdy stodoła się już dopalała, starszy rozwścieklony, że nie pokazał na swoim, rozpuścił żołdactwo na rabunek. Sądny to był dzień mój jegomościuniu. Dziedzic i panienka cudem prawie zostali przy życiu, choć dziedzic nie ma wielkiej pociechy z tego życia. Mówią, że to kara.

— Za jedno słowo, które w złej godzinie miał powiedzieć — rzekł gwardyan.

— Słyszałem jak powiedział to słowo. Kiedy nasi powstali, pan Floryan zjawił się zaraz pierwszej nocy calusienki uzbrojony, chciał pożegnać panienkę, z którą był zaręczony, i żądał od dziedzica ludzi i pieniędzy dla ojczyzny. Wtedy dziedzic się zawziął na niego, uderzył w stół i rzekł:

— Robicie głupstwo — idźcie, zginiecie. Ja się nie ruszę.

Nie wiedział, jak sobie strasznie przepowiedział, bo w kilka miesięcy potem rzeczywiście już się nieruszał wcale.

— Dziwne sprawy pańskie — mówił ksiądz — ludzie własnemi usty piszą wyroki na siebie.

Potem otrząsnąwszy się z przykrych myśli, które go opadały rzekł:

— Więc jutro o ósmej będzie msza święta, ja sam ją

odprawię. Pomodlimy się za człowieka, który wart był, aby żył w naszej pamięci.

Poklepał karbowego po ramieniu i pożegnał go. Niezadługo znowu otwarły się drzwi gwardyańskiej celi i weszła Kazimira.

Ksiądz z uszanowaniem witał dostojną panię u siebie, i posadził ją na wyścielanem krześle. Poczęli rozmawiać o potocznych rzeczach, o wypadkach politycznych, o ucisku rządu; ksiądz jednak domyślił się, że inny jakiś powód sprowadził do klasztoru dziedziczkę, że rozmowa jest tylko pozorem, wstępem. Jakoż rzeczywiście po niejakimś czasie Kazimira wstając rzekła:

— Chciałam prosić ojca gwardyana o mszę świętą żałobną.

To mówiąc położyła na stole dukata w papier owiniętego.

— Kiedyż mamy ją odprawić?

— Jutro — wyrzekła to słowo z ciężkością.

— Za czyjąż duszę?

— Za wszystkich zmarłych — rzekła nie podnosząc oczu, po chwili dodała:

— Za tych, co nagłą zginęli śmiercią.

— I nic więcej? — pytał ksiądz sondując myśli kobiéty.

— Nic, nic — odrzekła pospiesznie i wyszła.

Ksiądz przez otwarte okno patrzał za wsiadającą do powozu, i rzekł do siebie kiwając głową:

— I za nią pomodlić się trzeba.

II.

Umarli nie wstają już więcej.

W trzy dni potem przed białym dworem był ruch wielki, powozy i bryczki zajeżdżały co chwila, Henryk na balkonie przyjmował gości wesoły, uśmiechnięty, Kazimira w salonie robiła honory domu. Wiele jednak osób zaproszonych wymówiło się; wydawało im się bowiem niestosownem bawić się w chwili, gdy kraj cały nieochłonął jeszcze po strasznej burzy, jaka przeszła po nim, gdy prześladowanie i ucisk Moskwy szerzyły się i wzmagały w miarę bezwładności narodu, gdy komisye włościańskie i kontrybucye obdzierały ze zwyciężonych resztki mienia, a ukazy cesarskie zamykały drzwi klasztorów i świątyń. Niektórzy nawet dali uczuć Henrykowi niestosowność podobnego postępowania; ale go ani zrazili, ani przekonali; owszem im więcej widział krzywiących się na to, tem bardziej utrwalał się w zamiarze; szał zabawy opanował go, zdawało mu się, że postępowanie jego było najwłaściwszą polityką w obecnych stosunkach, i dziwił się zaślepieniu tych, którzy tego pojąć niemogli. Rozumował zaś w ten sposób: bawiąc się damy wyraźnie poznać rządowi, że nie myślimy o spiskach i buntach, że jesteśmy zadowolnieni z obecnego położenia, zrywamy z tradycyą ostatniego powstania; wtedy rząd musi koniecznie pofolgować, skłoni się łatwiej do jakiejś koncessyi, amnestyi; my tymczasem układną grzecznością winniśmy ująć sobie wykonawców ukazów carskich, ułagodzić ich, podejść fortelem jak dzikie zwierzęta i wyzyskiwać na swoją korzyść. Zabawy więc, pohulanki były dla Henryka dyplomatycznym krokiem, w którym widział zbawienie kraju i polepszenie jego bytu.

Trudno go potępić za to, jeżeli rzeczywiście tak myślał jak mówił, jeżeli zabawy były maską dla jego idei, a nie przeciwnie; trudno, mówię, potępić go za jego wiarę polityczną, bo wtedy na iluż ludzi musielibyśmy rzucić kamień potępienia? W strasznych obłędach wiedziemy nasze porozbiorowe życie; rozbiliśmy się na obozy; mnóstwo proroków woła: tu do mnie, u mnie prawda, i lud błądzi po puszczy tęskniąc za ziemią obiecaną. To co wczoraj było nam wiarą polityczną, patryotyzmem, dziś zdradą się nazywa, ci sami, co usprawiedliwiali obłęd księcia Adama, rzucają dziś przekleństwa i groźby na panslawistów i zwolenników Rossyi; psalmy Jeremiego anachronizmem się stały, a Bismark urągając z lojalności Polaków, walczących dla sprawy pruskiej woła: krwią swoją daliście świadectwo, że pragniecie należeć do Prus. Jeden z poważniejszych dzienników polskich pisząc o zamachu Berezowskiego, dzięki składa opatrzności, że nie dozwoliła, aby Polak splamił się krwią królewską, bo Polacy nie zabijali nigdy swoich królów. Ten sam dziennik jednego roku pisał, że obóz powstańczy jest najodpowiedniejszem, najswobodniejszem miejscem dla każdego Polaka, a w parę lat poźniej nazwał tę chwilę strasznym obłędem i z trudnością tylko dawał absolucję jej aktorom. I tak każdy pogańskim obyczajem lepi sobie co dnia jakiegoś Boga według własnych pojęć, jakąś jednodniową okolicznościową politykę, z której się następny dzień smieje, szyje sobie sztandary z mieszanych barw. Gdybyśmy chcieli tych wszystkich ludzi potępić, jakże mała garsteczka zostałaby z tej wyrachowanej przez emigracyę dwudziestomilionowej liczby, o której moglibyśmy powiedzieć: Polacy. Jedynym sędzią tych ludzi niech będą ich sumienia, choćby drogi ich błędne były, jeżeli tylko wierzą w to, co robią, jeżeli wierzą mocno, że to co robią, przyniesie pożytek innym — usprawiedliwić ich trzeba.

Dlatego trudno potępić Henryka, że zabawą chciał zbawić; było to, jak utrzymywał, jego przekonanie polityczne, które uszanować musimy dopóki się nie przekonamy, że ono było tylko tarczą osłaniającą jego prywatne zachcenia i namiętności, jego upodobania do wygodnego i przyjemnego życia, słowem: że się podszył i skrył za zasady i cele. Wracamy więc do Henryka krzątającego się wśród gości, witającego i podejmującego przybyłych z uprzejmą gościnnością.

Wraz z gośćmi przybył także do dworu komisarz do spraw włościańskich, młody, przystojny liberał, którego już Henryk znał o tyle, że z jego łaski stracił kilkadzie-

siąt morgów pola, które rok rocznie podnajmował czeladzi swojej. Pan komisarz osądził, że one przestają być własnością dworu. Mimo to Henryk przyjął przybyłego uprzejmie, nie dając mu niczem poznać urazy, co pana komisarza widocznie ujęło i korzystnie dla gospodarza usposobiło.

— A ja miał pana za strasznego tyrana i despotę — mówił przechadzając się z Henrykiem po pokojach — tak mi pana wystawiano.

— Cieszę się, że pan zmieniłeś zdanie.

— Ale dlaczego ludzie we wsi tak źle o panu mówią?

— Nic dziwnego; w ten sposób zyskali to, czego nie byliby dostąpili mówiąc inaczej.

— A to psubraty. Czekaj pan, to się zmieni.

Liberał demokratyczne zasady zostawił w chłopskich chatach, tu na gładkiej posadce, wśród postrojonych dam i grzecznego przyjęcia, zmienił się jak kameleon.

— Ale tu u pana bal ma być, jak widzę, a ja w czynności tylko przyjechał.

— Spodziewam się, że pan komisarz nie odmówi mi tej przyjemności i przepędzi z nami dzisiejszy wieczór. Będzie naczelnik Brinken, kapitan Pawłowicz.

— To mój druch i dobry znajomiec.

— Więc mogę liczyć?

— Niechno pierwej uwinę się z tą hołotą — rzekł pokazując na gromadkę ludzi stojących za bramą.

Już go mam — pomyślał sobie Henryk uradowany swoją polityką, i rozstał się na czas jakiś z komisarzem, który zapaliwszy cygaro, i włożywszy ręce w kieszenie pantalonów, wyszedł ku bramie.

— Da, czego wy chcecie włościanie? — spytał stojąc przed nimi.

Chłopi skłonili się mu do kolan, i skrobiąc się po głowie poczęli skarzyć się i użalać.

— Proszę wielemożnego, długo my tak będziemy czekać na te grunta?

— Głupi cham, czekałeś kilkadziesiąt lat, a kilka tygodni długiemi ci się wydają. Wy jak widzę nie kontenci z łaski cara, który z bydląt zrobił was ludźmi?

— Niech najjaśniejszemu cesarzowi Bóg za to da zdrowie w długie lata — rzekł inny chłop — ale proszę wielemożnego, nie każdemu się z tego dostało. Ot Walek Skiba był takim komornikiem, jak i ja, łoni zaarendował kilka włok ziemi i jest teraz kmieciem, a ja nic nie mam.

— A ten grunt mnie się patrzy — dorzucił stary jakiś wieśniak — bo ja go arendował bez mała piętnaście lat i dopiero łoni puścił, i teraz Walek ma to wszystko wziąść, to zaś nie prawda.

— Głupi chłop, a znasz ty loteryę?

— Kajbym nie znał.

— Otoś teraz jakby w loteryę grał, Walek wygrał, a wy obaj przegrali; rozumiesz?

Gromadę to porównanie zabawiło i ośmieliło; poczęli głośniej i weselej rozmawiać, widocznie się o coś umawiali, wreszcie wystąpił jeden z pomiędzy nich, objął kolana komisarza, i obracając czapkę w ręce odezwał się:

— Proszę pokornie wielemożnego, czy my to będziemy jakie podatki płacić, czy nie, bo różnie o tem mówią?

— A upominał cię się kto o podatki?

— Nie.

— No, to siedź i bądź kontent.

— A widzicie, że nie, mruczeli chłopi między sobą.

— Bo w innych wsiach, proszę wielemożnego, to kazują płacić; ale my nie będziemy, boć kiedy nam cesarz darował, to pewnie sobie za to płacić nie każe. My się znamy na tem, że to czyjaś sprawka tylko.

— A cóż będzie z pastwiskami?

Komisarz, któremu się spieszyło do dam, rozgniewał się tą natrętnością chłopów, tupnął nogą, zaklął po swojemu i krzyknął:

— Głupie bydło, chciałoby wszystko naraz; ja się nie rozerwę na części. Dziś nie mam czasu.

To rzekłszy odwrócił się i odszedł ku dworowi.

— Nie taki on już, jak kiedy mieszkał u wójta. Wtedy nie mówił tak do człeka, jeno rozmawiał się godzinami całemi, że aż za serce chwytało.

— Panowie go już przerobili.

— Może i z gruntów nic nie będzie.

— Ba, wtedybyśmy i do cesarza trafili.

— Ale tak i stanęło na mojem, że podatków płacić nie trzeba — rzekł chudy Szymon.

— Usuńcie się kumie z drogi, bo żandarmski kapitan jedzie.

— Z żandarmami, może bedą brać kogo?

— Kaj ta, toć będzie hulatyka we dworze.

— Dziwnie to u tych panów, niedawno się zabijali z Moskalami, a teraz całują się i żyją w zgodzie. U nich wszystko nie naprawdę.

Pozdejmowali z uszanowaniem czapki i usunęli się na bok robiąc miejsce powozowi, w którym przejechał kapitan rozparty i nadęty.

Gdy zajechał przed balkon, Henryk witając go spojrzał na powóz i poznał, że jest własnością Edwardów.

— A oni nie będą? spytał.

— Kto oni?

— Edwardowie; sądziłem z powozu, że od nich jedziesz kapitan.

— Ja w pożyczanych powozach nie jeżdżę.

— Kupiłeś go więc kapitan? Wcale ładny powozik.

— Nie kupiłem i nie ukradłem, darowano mi go. Panu Edwardowi niechciało się jakoś, choć wyraźnie przymawiałem się; urządziłem więc małe śledztwo, rewizyjkę, znaleźliśmy broń w ogrodzie i pan Edward przejechał się do cytadeli, a żona jego bojąc się, by i jej brata taki los nie spotkał, co prędzej ofiarowała mi powóz; to się nazywa

u mnie robić interesa. Co? A pan mnie dasz konie do tego powozu; nieprawdaż?

Henryk w obec tego cynizmu i bezczelności, z jaką kapitan chwalił się ze swoich szelmostw, stracił przytomność i niewiedział co powiedzieć.

— Ja się panu wywdzięczę za to — rzekł kapitan z uśmiechem widząc pomieszanie gospodarza — przez mego przyjaciela, który jest w gubernium przy naczelstwie, zrobię panu to, że depozyt za tydzień wypłaci panu wygrane pieniądze, na które inaczej długobyś czekał. Doprawdy ładna sumka!

— W takim razie niech panu kapitanowi służę — rzekł gospodarz ściskając jego ręce.

— Ależ tu mnogo prekrasnych dziewic — mówił dalej kapitan zapuszczając lubieżny, rozbestwiony wzrok do salonu — będzie się z czem pobawić, a wszystko wygorsowane, ja to lubię. U mnie o tyle więcej kobieta warta, o ile więcej ciała widać, bo wtedy wiem jak i co szacować. A toż kto? — rzekł wskazując palcem na przechodzącą kobietę, a oczy jego poczerwieniały w ciemności jak u kota.

— To moja żona.

— Ta bohaterka. A to prześliczna kobieta, w żałobie połowa jej wdzięków ginie. Jacy wy Polacy szczęśliwi, wy nie warci takich kobiet, nieumiecie ich używać — Każde słowo kapitana szarpało, kłóło, obrażało Henryka jako małżonka i Polaka, gościnność jednak nakazywała niepokazywać tego. Żałować musiał, że zaprosił kapitana, a jednak niepodobna było niezaprosić, bo mógł znaleźć tysiąc sposobów przeszkodzenia zabawie. Henryk poczynał już spostrzegać wadliwość swego systemu, czuł że na śliskiej i pochyłej stanął powierzchni, na której tracił równowagę.

— Brinken tu?

— Jest na przekąsce i cygarach w moich pokojach; może i kapitan pozwoli?

— A nie, ja wolę do dam. Inna rzecz Brinken, to gbur i niedźwiedź, człowiek nie umiejący się znaleźć w towarzystwie, starowierca.

— Może pierwej cygaro kapitan wypali?

— A cóż to przy damach nie można? Toż u was damy nie palą? To źle, to niepostępowo.

To rzekłszy wszedł do salonu rzęsiście oświeconego i począł się umizgać do dam.

— Wot' Kryłow — zawołał ucieszony spostrzegłszy komisarza włościańskiego, który pod oknem rozmawiał żywo z jakąś bladą brunetką; komisarz uszczęśliwiony, rozpromieniony skinął mu głową i zwrócił się znowu do swojej sąsiadki.

— Szelma ani gadać ze mną niechce, tak uwiązł w miłości po uszy — rzekł Pawłowicz przysiadując się do jednej z dam siedzących przy fortepianie — gotowa go przerobić na Polaka.

— Cóżby w tem tak złego było?

— A toby dobre było, aby Kryłów, co je chleb carski, rodził Rosyi buntowszczyków. Szczęściem, że car przewidział, jakie panie macie na nas czary, i obmyślił lekarstwo.

— Jakież?

— Prawosławie. Nużby się Kryłów ożenił z waszą, dzieci taki muszą być prowosławne, a prawosławni nie buntują się i nie będą Polakami. Dlatego ja mam cześć przed prawosławiem, choć ani w popów, ani w świętych, ani w nic nie wierzę. Ja pani postępowiec; ja wiem, co to wszystko tylko fanaberye, dla tumanienia ludu, a prawo natury, to u mnie Bóg. Człowiek od małpy.

Dama nie uważała za stosowne słuchać dalej wykładu filozofii kapitana i odeszła. Pawłowicz mógłby ją był zmusić do słuchania, bo cóż niepodobnego było u niego; ale niezrobił tego, przypisując postąpienie damy jej próżności.

— Ot, kobieta nielubi słuchać, że od małpy pochodzi; wmówili w nią, że od aniołów — rzekł do jakiegoś szlachetki siedzącego z nim.

W tej chwili muzyka zagrała poloneza. Kapitan zerwał się i skoczył ku grającym. Wyrwał jednemu trąbę i zawołał:

— Szto eto bunt?

Muzyka grać przestała, pary się wstrzymały, wszyscy spojrzeli na kapitana, który się rzucał jak waryat.

(C. d. n.)

KOPIEC UNII.

Sypcie kopiec pod chmury! sypcie go nad chmury!
Chwalebnego zapału niech ramię posłucha!
Z przymierza usilności cud sięgnie do góry
Na świadectwo dzielności serc waszych i ducha!

Chwila to uroczysta — i trud uroczysty.
Wielkiego dzieła pamięć uwiecznić nam trzeba.
Będzie to pomnik święty, jak modlitwa czysty,
Godny błogosławieństwa, i ziemi i nieba.

Nie tak rosły tebańskich obelisków bryły
I piramid Egiptu pokłady olbrzymie;
Krwią i łzami rozpaczy ludy je wznosiły,
By wsławić nienawistne ciemięzców swych imię.

Jakiż zysk z ofiar tylu? W nicości zagasło
To imię, brzmiące niegdyś głośno i złowrogo!
Sfinx milczy zadumany — wichru tylko hasło
Szumi w piaskach pustyni szyderczą przestrogą.

Nasz pomnik nie łzy wznoszą, nie duma despoty,
Nie ilotów dłoń dźwiga z poziomu do szczytu!
Nasz pomnik dzieło światła, a nie płód ciemnoty,
Godło duchów przymierza i wolnego bytu!

Dalej więc! dalej sypcie!—niech rośnie, niech sięga
Coraz wyżej w błękitów i czasów obszary!
Zgodnych dążeń—o! bracia! — niezłomna potęga,
Gdy miłość im przyświeca i pochodnia wiary!

Lwów 13. sierpnia 1869.

Berlicz Sas.

KRONIKA.

Z kraju.

Z LWOWSKIEJ WYSTAWY OBRAZÓW.

III.

Muszę się rozprawić z krytykiem Dziennika Literackiego, który potępił dość licznie tego roku przedstawione illustracje. Wyrzut ten oczywiście nie pochodzi ze złej woli, ale z gorącej miłości sztuki w ogóle, a mianowicie sztuki rodzimej, tylko niestety przesadnej, wpadającej w puryzm nieuzasadniony, pedantyczny. Bywają illustracje źle rysowane, źle komponowane, źle ubarwione, ale te już nie należą do dziedziny sztuki. Bywają illustracje wręcz koszlawe, albo przeciwne tekstowi uzmysłowionemu, i te potępić się godzi i należy. Bywają illustracye niewolnicze, niejako fotografie; te mogą być przydatne, jeźli przynajmniej wiernie oddają akcessorja, nieznane nam lub niepamiętne żyjącemu właśnie pokoleniu miejscowości, stroje i t. p., ale zawsze jeszcze nie podpadają pod miano utworów sztuki. Bywają jednak illustracje, które pod względem technicznym, kompozycyi i w ogóle co do pojęcia i wykonania, wypełniają zadanie sztuki malarskiej, noszą wybitne piętno udzielnego ducha swego twórcy, są utworami samoistnemi; te już niezawodnie należą do sfery sztuki, i jako z takiemi krytyka liczyć się musi. Są to wprawdzie illustracje, ale tylko jakby przypadkowo.

Gdybyśmy pod upokarzające miano tak zwanych illustracji podciągali wszystko, co jest plastycznem upostaciowaniem jakiego poematu, jakiej książki, to powiedzmyż konsekwentnie, że wszystkie malowidła i rysunki, wszystkie rzeźby, a nawet wszystkie dzieła pióra, są niczem innem, tylko illustracjami. Inaczej chyba tylko wieszczenia otwierałyby pole sztuce, a co do mnie, przyznam się, że nie pojmuję, jak się z dotychczas uznawanemi prawidłami piękna pogodzić dadzą wieszczenia wobec sztuki malarskiej. Czemże wieszczenia, widzenia przyszłych kiedyś, naszemu oku niewidomych dziejów, scen i osób o nieznanych nam jeszcze formach, odróżnić od przywidzeń? Wówczas osądzenie prawdy, tej pierwszej podwaliny wszelkiego piękna, co do danego nam dziś już przedmiotu, musielibyśmy odesłać do tych pokoleń potomności, które na spełnienie wieszczby będą patrzały. Ależ wtedy zarazem niech krytyk niniejszy przekaże swoje pióro onych pokoleń rzeczoznawcom. Zaledwo mógłby się zająć rozpatrywaniem rysunku.

Illustracje! A czemże są arcydzieła Rafaela i Michała Anioła, jeźli nie illustracją biblii? Czemże arcydzieła Claude Lorraina, jeźli nie illustracją innej księgi, a to księgi przyrody? Czemże są portrety Van-Dycka, rodzajowe obrazy Knausa, jeźli nie illustracyą znowu innej księgi, a to społeczeństwa? Czyż nie illustracyą naszych dziejów są obrazy Matejki? A architektoniczne obrazy Gryglewskiego, czyż to nie illustracje tej wiekopomnej księgi, którą zwiemy Kraków i jego katedrę? Nawet allegoryczne kompozycye Kaulbacha, Grottgera, czyżby i tych nie musiano zwać illustracyami, i jako takie potępić zarazem z Satyrem, Wenerą, Laokoonem, Herkulesem i Gladjatorem-słowianinem, które z ruin wstały na świadectwo dziejom starożytności?

Ostałaby się ostatecznie chyba tylko architektura!

Ale nietylko ze względów ścisłej estetyki, wydaje mi się mylnem potępienie illustracyi. Utylitaryzm ma w życiu swoje wielkie, a chwilami przeważne prawo. Illustracye w ścisłem swojem znaczeniu mają, jak już u góry napomknąłem, swoje prawo bytu, obywatelstwa. Któż odmówi zasługi wielkiej illustracyom Wilczyńskiego do Pamiętników Paska? Czytając te Pamiętniki, sceny i postacie stają naszemu pokoleniu, choć jeszcze posiadamy żywe tradycye z pogrzebanych form przeszłości narodowej, już tylko w niejasnych, zaledwo konturowych, rysunkowych wizerunkach, choć rozumiemy, pojmujemy, wiemy, jakie bije w nich serce, wdrażamy się nawet w tor ich myśli. Illustracje dodały żywego ciała, barwy wyraźnej konturom, domysłom. Przeszłość staje przed nami namacalnie za pośrednictwem tych illustracyi. A cóż dopiero pokoleniom następnym, które już żywej tradycyi posiadać nie będą!

Illustracye stają często jako wyrzut sumienia tym, którzy niedbale albo i zgoła nie zajmują się naszymi wielkimi pisarzami. Spostrzegam, że dzisiejsze pokolenie nie uczy się już Mickiewicza i Pola, jak myśmy się uczyli i studyowali, jak Krasickiego i tp. uczyli się nasi ojcowie. A jest to wyłom w ogólnem wykształceniu, w jednolitym jego wątku, który powi-

nien snuć się nieprzerwanie od pierwszych wielkich objawów naszego ducha narodowego. Im udatniejsze a ceną przystępniejsze takie illustracje, tem większy, a jak widzimy, arcyzbawienny wpływ i w tem szerszych kołach wywierają.

Życie malarstwa naszego jeszcze krótkie. Na najwyższy szczyt nie poprowadzą go same wzory sceniczne Włoch, Niemiec, Francyi, Niderlandów, Hiszpanii, tak samo, jak jeszcze nie mamy arcydzieł dramatycznych, choć czytamy od Sofoklesa do Szyllera wszystkich geniuszów w tym dziale. Ani treści ani formy nie dadzą mu obce wzory, tylko podadzą sposoby. Z swego gruntu, z ducha swego narodu i swej ziemi czerpać muszą malarze nasi, jak czerpie Matejko, jak czerpał Grottger, chcąc stawać do rzędu z innemi, szczęśliwszemi narodami. A gdzież pewniejszy ten grunt, jak w postaciach i scenach dzieł naszych wielkich pisarzy? Illustrując je, malarze nasi robią studja, które czy to im samym, czy ich kolegom obecnym lub przyszłym nieocenione przyniosą pomoce. Chodzi tylko o to, aby nie byli niewolnikami pisarzów, aby pamiętali, że każda gałęź sztuki ma swoje właściwe prawa i granice, byle się w illustracyach nie zagrzebali! Ale jak już nasze wystawy dowodzą, ani jedno, ani drugie niebezpieczeństwo nie grozi.

Pod napisem „Illustracje“ wystawił pan Eliasz z Krakowa 12 akwarel małego formatu z „Maryi“ Malczewskiego. Jest bardzo wiele prawdziwego życia i ruchu w tych illustracyach, co się rzadko wydarzało panu E. w dawnych utworach, a pojedyńcze sceny są tak dobrane, że podają treść poematu. Ale po cóż artysta dobrał sobie samych barw tęczowych, mieniących się jak na bańkach mydlanych, i to tak, że oczom niepodobna długo się w nie wpatrywać? I rysunek w wielu miejscach jest chybiony. Któż np. jeźdzca, pędzącego cwałem, i konia pod nim wypracowuje z taką dokładnością w drobnych akcessoryach, jak gdyby spokojnie stojąc czekali na przegląd służbistego kapitana? W pędzie miga się cała figura i jeźdzca i konia, a akcessorya ich spływają się w oczach widza. „Zosia“ między drobiem jest i w kolorycie, i w układzie, i w rysunku chybiona, a koloryt tak się mieni, że mało co z figury Zosi a jeszcze mniej kur, itd. dostrzegamy.

P. Z. Sidorowicz przedstawił olejno z „Pani Twardowskiej“ scenę, jak diabeł przerażony wdziękami pani, za klamkę chwyta. Polskiego, dobrodusznego diabła zamienił p. S. w niemieckiego Mefistofila; szlachcica polskiego w pijaczynę z przedmieść wiedeńskich; a pani Twardowska przeraża szkaradą swoją zewnętrzną, jak gdyby polski diabeł zewnętrzną brzydotą baby dał się odstraszyć! W całym obrazie ani cienia humoru, którym tryska ballada. Dziwactwo i tu uwiodło młodego artystę na błędną drogę.

„Powrót Grażyny z boju“ p. Jaroszyńskiego (z Krakowa) jest miernym utworem, nie zachwyca, ale też niczem nie razi; jak w ogóle w utworach tego artysty, główną rzeczą są konie. Schustra (z Wiednia) „Dziewięcioletni Bolesław Krzywousty wychodzący na wojnę odbiera błogosławieństwo“ ma tylko tę zasługę, że jest gładko malowany, zresztą jest to sobie dość tuzinkowa illustracya. „Spotkanie się Wallenroda z Aldoną“ F. Sypniewskiego (z Warszawy) malowane farbami gliny garnczarskiej. Malarz nie przeczytał z uwagą poety; nie tak wygląda poranek i dolina, ani kochanek i kochanka, do tego jeszcze młodzi!

W tym dziale, chociaż może niesłusznie do niego zaliczony, odznacza się niepospolitemi zasługami „Miecznik i Marya“ Cynka (z Krakowa). Praca jest tu sumienna, układ dobry, akcessorya znakomicie oddane, ale postacie Miecznika i Maryi, mojem zdaniem, są chybione. Według poety Miecznik ma być hardy, a Marya młodą, i jeszcze ich nie opuściła nadzieja. Tymczasem malarz zupełnie co innego przedstawił. Miecznik wygląda uczuciowo, Marya jest kobiéta 30letnia, a oboje jakby wrócili z pogrzebu Wacława!

Objąłem te utwory mianem illustracyi, chociaż takiego działu krytycy nie znają; a uczyniłem to z powodu, że utwory te nie należą właściwie do historycznych, a tem mniej do rodzajowych. Dział ten wypadł niefortunnie na tegorocznej wystawie z powodu, że malarze nie szli za poetami, a to, co z własnego ducha ułożyli, wcale się nie udało.

P. K.

(Najnowsza zbiórka nasza na niwie literackiej) przedstawia dość spory snopek, złożony z rozmaitego kłosia. Jest w niém niemało ziarna zdrowego i pożywnego, ale znajdzie się także śniedź, a tu i owdzie nawet kłos całkiem pusty, przydatny zaledwie na słomę. W ogóle z żalem przyznać należy, że literatura nasza zanadto dziś obfituje w plewę, którą — zaledwie się wysypie — rozmiata zaraz wiatr bez śladu na wszystkie strony. Najwięcej zaś przyczynia się do tej produkcyi tak zwana fejletonowa literatura naszego dziennikarstwa, która głównie sama stara się o to, aby dłużej nad kilka godzin nie przeżyła swoich narodzin. I nie może być inaczej, jeżeli zamiast rzeczy poważnych, obchodzących ogół cały, zapełniają szpalty fejletonów paszkwile, plotki domowe i tym podobne brudy, w których złość, prywata i rozum niedowarzony siłą się na kiepskie dowcipy, a których wartości miarą może być chyba ilość spotrzebowanego wiatru, błota i śmiecia. Z takiego nasienia i na takim gruncie nie zeszło nigdy jeszcze zdrowe ziarno. Ale wróćmy do naszego snopka literackiego.

Najgodniejszemi wzmianki z najnowszych publikacyj literackich są:

Obrazy z życia i natury, skreślone przez W. Pola, serya pierwsza. Jestto przyczynek bardzo szacowny do fizyologii i etnografii naszego kraju, a napisany z wdziękiem właściwym temu Nestorowi naszych poetów. Tu i owdzie ożywia autor opowiadania swoje dyalogiem, i nadaje tym sposobem całości poniekąd charakter powieściowy. Ile będzie wszystkich seryj — nie wiemy, ale daj Boże jak najwięcej.

Dzieje Polski od jej początku aż do dni naszych, opowiedziane potocznym sposobem przez H. Schmitta. Posiadamy już wprawdzie kilka dzieł tego rodzaju, ale podobnych książek nie może być nigdy za wiele, zwłaszcza jeźli

opracowanie pomimo koniecznego tu ograniczenia objętości, jest tak dokładne, zwięzłe i przystępne każdemu wiekowi, jak właśnie w Dziejach p. Schmitta. I duch też, który wieje w tej książce od początku do końca, jest tak zacny i czysto polski, że nie możemy jak tylko polecić ją najusilniej wszystkim matkom polskim i zakładom wychowawczym, pragnącym zapoznać swoje dzieci i wychowanki dokładnie z dziejami ojczystemi.

Wydane w Sanoku Obrazki galicyjskie znakomitego pióra J. Gordona. Kto zna wydane w „Bibliotece pisasarzy polskich“ Brockhausa szacowne dzieła tego autora, jak: „Obrazy caryzmu“, „Sołdat“, „Kaukaz“, i inne, temu nie potrzebujemy zalecać Obrazków galicyjskich. Dla innych dość powiedzieć, że znajdą w nich i humor i prawdę, zalety, które w podobnych pismach nie zawsze spotyka się razem; a przytem podaje w nich autor tak zdrowe i trafne uwagi o naszych stosunkach społecznych i politycznych, że bliższego zapoznania się z niemi nikt pewno nie pożałuje. Obecnie drukuje się nowe dzieło tego pisarza pod tytułem: „Szkice i ramoty.“

Rachunki B. Bolesławity z r. 1868. Mozolna a niebardzo wdzięczna ta praca szanownego autora nie różni się niczem od dwóch poprzedniczek swoich, chyba tem tylko, że z większą jeszcze goryczą i żalem wylicza przeszłoroczne grzechy narodu we wszystkich dzielnicach Polski. Jak w dawniejszych rachunkach dostają się i w tych najcięższe razy Galicyi, którą karci sędziwy mentor na każdym kroku jak dziecko krnąbrne i niepoprawne; a czy słusznie? na to mogliby odpowiedzieć chyba ci, którzy się do winy poczuwają.

Bardzo miłem zjawiskiem w dziedzinie poezyi są wyszłe świeżo w Bruxeli: „Promyki“ Włodz. Wolskiego, poety-wygnańca, którego przed kilkoma miesiącami głosiła umarłym mylna wieść „Kraju.“ Jestto pełna świeżości i woni wiązanka poezyi lirycznych, w których natchniona dusza wygnańca spiéwa tęsknotą i łzami, wtórząc sobie niekiedy jękiem ironii lub gromem szlachetnego oburzenia. Wyjątek z tych poezyi podała „Strzecha“ w bieżącym roczniku swoim, a czytelnicy mogą się przekonać, że i wszystkie inne utwory w tym zbiorku dadzą się czytać z równą przyjemnością. — Równocześnie wyszedł w Dreznie inny zbiór poezyi Ernesta Buławy (pseudonima) pod tytułem „Piołuny“ Zawiera on same drobne tylko utwory i tłumaczenia, ale objawia się w nich nie mały talent poetycki. Autorowi widocznie młodemu jeszcze, nie brak ani świętego ognia ani fantazyi, ale życzylibyśmy mu jeszcze więcej uczucia głębszego, a mniej pustego szumu wyrazów, który najczęściej nic niewyraża i jest tylko niesmacznem naśladownictwem Słowackiego.

Nakoniec z działu powieściopisarstwa zasługują na chlubne wspomnienie dwie powieści: przedrukowana z fejletonu „Kraju“ „Rodzina Orskich“ Wład. Sabowskiego, i wydany w Warszawie romans Edw. Sulickiego: „Oryginały.“ Obie są dobrze napisane i dają się czytać z zajęciem i pożytkiem, a to jest właśnie główną zaletą każdej powieści.

Ze świata.

(Pięć wypraw do bieguna północnego) jest już obecnie w drodze, z tych trzy niemieckie a dwie angielskie; do szóstej zaś francuzkiej, pod kierownictwem pana Lamberta, czynią właśnie przygotowania. Pierwsza wyprawa, przedsięwzięta przez p. Rosenthala, na parowcu „Bienenkorp“, obrała sobie za cel wschodnią Grenlandyę. Druga prowadzona przez pana Lamonta, członka parlamentu angielskiego, na parowcu śrubowym „Diana“, zwiedzi wody między Spitzbergiem i Nową Zemlą. Do tychże samych stron udał się kapitan angielski Polliser. P. Rosenthal wysłał do brzegów Syberyi drugi parowiec „Albert“, który odpłynął z Bremerhafen dnia 29. maja r. b. Nareszcie wielka wyprawa niemiecka na statku „Germania“, wioząca zasoby mogące wystarczyć na dwie zimy, opuściła Bremerhafen na dniu 15. czerwca r. b. W chwili odpłynięcia odwiedził ją król pruski i uposażył nową zapomogą w sumie 2000 talarów.

Królestwo do nabycia i relikwie Robinsona.) Ktoby życzył sobie posiadać własne państewko, niechaj się zgłosi do angielskiego urzędu kolonialnego, który zamierza wypuścić w wieczną dzierżawę za pomierną cenę wyspę Auckland, położoną o 180 mil na południe od nowej Zelandyi. Posiadłość ta jest dwa razy większa od wyspy Wight, ma wysokie góry, drzewo budulcowe, słodką wodę, przepyszny klimat, ale jest zupełnie bezludną. Przyszły jej król musiałby być przeto dość bogatym, by mógł utrzymać 40 do 50 poddanych t. j. robotników i posiadać własny parowiec, inaczej żyłby jak Robinson zupełnie odcięty od świata. Słychać, że kilku byłych królików niemieckich konkuruje już o to królęstwo.

A gdyśmy wspomnieli o Robinsonie, nie będzie od rzeczy podać tu wiadomość o relikwiach tego sławnego pustelnika. Muzeum szkockiego towarzystwa antykwaryuszów zostało niedawno wzbogacone nabytkiem, który w młodych wielbicielach Robinsona Kruzoe niemałe wzbudzi zajęcie. Jestto skrzynia i puhar rzeźbiony z orzecha kokosowego, własnoręczne wyroby Aleksandra Selkirka, który służył za prototyp Robinsona. Te przedmioty stanowiły szczupły zasób sprzętów Selkirka podczas pustelniczego żywota jego na wyspie Juan Fernandez, i powróciły z nim do ojczyzny, gdy go po kilkudziesięciu latach wyswobodził z tamtąd kapitan Woodes Rogers. Skrzynia jest wyrobiona z pewnego gatunku mahoniu z nazwiskiem Selkirka i liczbą (prawdopodobnie numer, pod którym płynął na okręcie) kunsztownie wyciętemi. Puhar został jeszcze na wyspie wyrzeźbiony przez Selkirka.

(Kolej żelazna o jednej szynie.) Z Paryża donoszą, że technik Larmajant sporządził lokomotywę i wagony, które potrzebują tylko jednej szyny żelaznej, a jadą równie szybko i bezpiecznie, jak na dwóch. W jeneralnej próbie tej jazdy brał udział z polecenia cesarza adjutant, jenerał Fave, który jest oraz dyrektorem szkoły politechnicznej. Pociąg wyruszył z Raincey i przybył w 20 minutach do Montfermeil. Wszystko szło doskonale, szybkość jest taka sama, jak na zwykłych kolejach.

System pana Larmajant zasadza się na użyciu maszyny o trzech kołach, z których jedno, środkowe, toczy się po szynie a dwa inne bieżą po ziemi prawie ślizgając się tylko. Cały ciężar dźwiga owe środkowe koło na jednej szynie. Na przebytej przestrzeni znajdują się znaczne zakręty i pochyłości. Kilku inżynierów amerykańskich przybyło umyślnie do Paryża, ażeby przypatrzyć się tej próbie. Szarlataneryi niema w tym wynalazku żadnej. Zachodzi tylko pytanie, czy siła nowych

aparatów odpowie wszelkim warunkom terenu i transportu. Jeźli tak jest, natenczas nastąpiłaby zupełna zmiana całego systemu kolei żelaznych.

(Odkrycie nowej Potozy.) Diamenty potanieją wkrótce tak dalecce, że w końcu będą mieć zaledwie wartość ładnego krzemyka. Na Przylądku „Dobrej nadziei“ (w południowej Afryce) odkryto bowiem nową kopalnię dyamentów, z której nadeszło już kilka ładunków do Anglii. Między przywiezionemi kamieniami jest wiele o 47 i 48 karatach, a parowiec „Celt“ przywiózł w zeszłym miesiącu wielki dyament, ważący 83½ karatów. Klejnot ten został nazwany „Gwiazdą Afryki południowej“ i jest w posiadaniu p. p. Mosenthal i spółki w Londynie. Wartość tego pysznego kamienia, dochodzącego wielkości zwykłego orzecha laskowego, chwieje się między 20000 i 40000 funtów szterlingów (200000 — 500000 złr.)

Ale tu jeszcze nie koniec dziwom. Obiegają wieści o najosobliwszych zdobyczach. Jakiś lekarz kaferski miał znaleść dyament, którego niechciał zrazu sprzedać za żadną cenę. Ma on być dwa razy większy, niż „Gwiazda północnej Afryki“, gdyż waży 167 karatów, a wartość jego podają na 130000 funt. szterlingów (przeszło 1½ miliona złr,) Pewien holender, imieniem Van Nukerk, ofiarował za niego właścicielowi 500 owiec, 10 wołów i szterlinga w złocie, i nabywszy go za tę cenę jedzie teraz z tym rzadkim klejnotem do Londynu.

(Poświęcenie kolei Cichego Oceanu.) Podobno nigdy jeszcze nie zapamiętał świat uroczystości tak wspaniałej co do rozmiarów uczestnictwa, jaką była uroczystość poświęcenia tak zwanej kolei Pacyfiku, którą obchodziła równocześnie cała prawie Ameryka północna. Bióro „Stowarzyszonej prasy“ w Nowym Jorku otrzymało następujący telegram: „Promontory Summit, Utah, 10. maja. Ostatnia szyna jest położona, ostatni kołek wbity; kolej żelazna Pacyfiku jest skończona. Punkt połączenia znajduje się o 1086 mil na wschód od miasta Sakramento.“ Gdy w miastach wschodnich otrzymano tę radośną wiadomość o godzinie 3. minucie 16. z południa, pokazywał zegar w San Francisco godzinę 11. minutę 40. przed południem. Wszędzie bito z dział, w kościele Trójcy św. w Nowym Jorku odśpiewano uroczyste Tedeum, bandery powiewały w porcie i na domach; w Chicago odbyła się procesya siedmiomilowa; w Filadelfii bito we wszystkie dzwony; nawet w Omaha była świetna iluminacya i procesya, w której brało udział do 50000 ludzi.

W miejscu, gdzie odbywała się właściwa ceremonia, była z nią połączona także uroczystość telegraficzna, której wrażenie nieda się opisać. Urządzono rzecz tak, że każde poruszenie na tym nieznanym punkcie kuli ziemskiej telegrafowano natychmiast po całym kraju, tak że cały naród mógł być niejako świadkiem tego, co się tam działo w małem kółku. Przyrządzenie było takie, że drut telegrafu był przytwierdzony do ostatniego kołka, i że przeto uderzenia młotka, uczuwane na każdej stacyi telegraficznej, oznajmiały światu w tej samej chwili dokonanie dzieła.

Omaha była centralnym punktem tego olbrzymiego przyrządu, ztamtąd rozsyłano rozkazy dokoła. Naczelnik departamentu telegrafów w Waszyngtonie połączył drut z dzwonkiem, który musiał się poruszać za każdem uderzeniem młotka w odległem o 2000 mil Promontory Summit. Dano znak: „Przygotujcie się!“ Waszyngton, Nowy Orlean, Chicago, Boston i t. d. odpowiedziały: „Czekamy!“ Była godzina 2ga. W biórach telegrafów panowało takie uczucie, jakiego doznaje się przed samem zaćmieniem słońca. Niektóre niecierpliwiły się i posyłały zapytania do Omaha. Ztamtąd odpowiedziano; „Cicho! Nie przerywajcie koła magnetycznego, lecz oczekujcie uderzenia młotka.“ O godzinie 2. minucie 27. podług zégara waszyngtońskiego odezwało się Promontory Summit: „Już prawie koniec. Zdejmujcie kapelusze — modlitwa!“ Mimowolnie usłuchał każdy, i nastała głęboka, uroczysta cisza. O godzinie 3. minucie 40. opiewała depesza: „Modlitwa skończyła się, właśnie podano kołek“. Chicago odpowiedziało: „Wschód w pogotowiu!“ Promontory Summit mówi: „Baczność! Zaraz będzie! Trzykrotne drgnienie przed uderzeniem młotka.“ Następuje sygnał: Raz, dwa, trzy! Przez kilka minut cisza. A potem dały się czuć uderzenia młotka na wschodzie i na zachodzie, na północy i na południu; w Waszyngtonie odzywa się dzwonek, raz, dwa, trzy! Chorągwie powiewają, działa grzmią, a w Nowym Jorku wołają dzwony św. Trójcy: „Teraz dziękujcie wszyscy Bogu!“ Chwila ta pozostanie pamiętną na zawsze tym, którzy brali udział w tej uroczystości. Tak to stanowi rodzina ludów harmonijne ciało, którego system nerwowy reprezentują druty elektrycznego telegrafu, i co się dzieje w najodleglejszym zakątku ziemi, może natchniona całość czuć to i podzielać.

(Charakterystyka kobiét amerykańskich). Szał emancypacyjny kobiét amerykańskich, a szczególnie starych panien, przechodzi już istotnie wszelkie granice. W Nowym Orleanie zawiązał się niedawno klub zwolenniczek tej emancypacyi, którego większą połowę stanowią właśnie nieszczęśliwe aspirantki do stanu małżeńskiego, i w tymto klubie miała jedna z tych bohaterek, imieniem Zuzanna B. Anthony, następujący wykład, który dla swej estetycznej treści zasługuje na szczególną uwagę.

„Mężczyzni to sami złodzieje!“ — mówiła szanowna prelegentka w zapale szlachetnego oburzenia. — „Zkądże bowiem mają pieniądze? Ukradli je biednym robotnikom, którzy pracują dla nich w pocie czoła. Bez wszelkich więc szkrupułów możemy im wszystko odebrać, co się da wziąść tylko. Jeżeli kobiéta chce udać się wieczorem do swego klubu, to pan mąż zrzędzi ustawicznie i twierdzi nawet, że kobiécie nie przystoi wieczorem opuszczać domu; a gdy on sam z towarzyszami swymi zabawia się i pije po szynkach, to kobiéta musi milczyć. Na to widzimisię jednak nie powinna żadna z nas zważać, bo inaczej stałybyśmy się niewolnicami tureckiemi. „Twojem zadaniem jest czuwać nad dziećmi“ — temi słowy stara się mąż przekonać swoją żonę, że powinna zawsze siedzieć w domu. Bardzo to pięknie; ale jeżeli kobiéta powinna czuwać nad dziećmi, to niemniej powinno to być także zadaniem męża. Nie możeż bowiem mąż równie jak kobiéta siedzieć wieczorem w domu, kołysać swoje dzieci i starać się o nie tak, jak matka, która je śród bolów na świat wydała, i która nieraz w jednym tygodniu więcej musi doznać dolegliwości, niż mężczyzna w całem życiu swojem? Ten nienaturalny stan rzeczy musi się zmienić, a powstanie nowych stowarzyszeń jest pierwszym krokiem w tym względzie. Tu powinny wszystkie ko-

bióty, obarczone trudem i troskami, zgromadzać się i naradzać, jakby można położyć koniec przywilejom i tyranii mężów. Ale przedewszystkiem należy się postarać o pieniądze; pieniądz bowiem jest do wszystkiego niezbędnie potrzebnym, a najpotrzebniejszym wtedy, gdy się zamierza prowadzić wojnę. Musimy tedy w jakibądź sposób zdobyć sobie pieniądze. Nie trzeba w tym przedsięwzięciu odstraszać się niegodziwością środków. Chytrość i przebiegłość są to przymioty, w które natura szczodrze wyposażyła kobiétę, i tych środków należy tu używać. Mężczyźni lubią bardzo pochlebstwo (a kobiéty nie?); na tę wędkę można złowić ich najłatwiej. Dalej tedy do dzieła; schlebiajcie im, durzcie ich waszemi czułościami, starajcie się im podobać, słowem używajcie wszelkich środków, jakie wam tylko przebiegłość i dowcip wasz nastręcza, byleście tylko miały pieniądze — pieniądze — pieniądze!“

I cóż wy, szanowne czytelniczki nasze, powiecie na taką naukę? Zdajemy się w tym względzie zupełnie na wasz sąd, a jesteśmy pewni, że żadna z was nie da białej gałki...

(Już koniec wojnom!) Wiekowi XIX przypadnie w dziejach ludzkości ten zaszczyt, że uchyli raz na zawsze wojnę i ustali erę wiecznego pokoju. Od dłuższego już czasu nie upływał prawie żaden tydzień, by nie wynaleziono jakiego nowego karabinu lub działa, ale wszystko to jest bawidełkiem tylko w porównaniu z najnowszym wynalazkiem.

Cześć mężowi, który rozwiązał wreszcie wielką zagadkę boju, wynajdując maszynę, która raz na zawsze uczyni wojnę niepotrzebną. Imienia jego nie znamy jeszcze i nie możemy przeto przekazać go potomności; dowiadujemy się tylko, że jakiś mąż jenialny we Francyi sporządził maszynę, która miota kule na odległość dwóch kilometrów, i to bez żadnego wypoczynku lub przerwy. Dzięki tej błogosławionej maszynie można w jednej minucie rzucić 5000 kul na nieprzyjaciela, i to bez najmniejszego huku i dymu.

Coś wspanialszego nie podobna naprawdę wymyśleć! Wyobraźmy sobie, że w przeciągu jednej godziny, tj. w 60 minutach, można tą maszyną zabić 300.000 ludzi, a pokaże się, że naprzykład w bitwie pod Sadową byłoby potrzeba z obu stron tylko półgodzinnej roboty, by wyprawić na tamten świat obie armie walczące aż do ostatniej rezerwy, i to tak cichutko, że w twierdzy königrackiej nie byliby nawet słyszeli tego.

Co zaś najszczególniejsza przy tem wszystkiem, że ta maszyna potrzebuje do obsługi tylko dziesięciu ludzi, i że jest lekszą i tańszą niż gwintowane działo. Ze wszystkich więc zapaśników pod Sadową byłoby najwięcej pozostało dwudziestu ludzi, zatrudnionych przy maszynach, i ci byliby wieczorem zasiedli razem, by wychylić czarkę na cześć pokoju.

Wkrótce mają być robione próby z tą maszyną w obecności ces. Napoleona, i pragniemy najgoręcej, by doskonałość jej najzupełniej potwierdziła się. Gdy to nastąpi, będzie można poznosić natychmiast wszystkie tak kosztowne armie. Każdy naród sprawi sobie jednę taką maszynę, wielkie mocarstwa mogłyby nawet dozwolić sobie zbytku i utrzymywać dwie maszyny; a gdyby się pojawił nieprzyjacieł, wysłalibyśmy po prostu naprzeciw niemu dziesięciu ludzi z naszą sikawką ognistą, ażeby go rozmiażdżyć zaraz na granicy. Po dokonaniu tego dzieła powróci maszyna uwieńczona wawrzynem, po kościołach odśpiewają księża Te Deum, a my obrócimy się na drugi bok, ażeby spokojnie spać dalej.

Każdy pojmie, że w razie potwierdzenia się tej wiadomości stanie się wojna na dal niepodobną. Wszyscy oficerowie będą musieli kwitować i szukać zatrudnień cywilnych, a ludy będą ze względu na taniość wielkiej maszyny obrony krajowej płacić tylko dziesiątą część dotychczasowych podatków. Co daj Boże, Amen!

(Czternasty.) Mało komu znaną będzie gałęź zarobkowania, istniejąca w Anglii pod nazwą: „Czternasty.“ W Londynie zmarł w tych czasach niejaki John Andrew Malketh, który zostawił przeszło 200.000 złr. majątku, i przez trzydzieści pięć lat najmował się tylko jako „czternasty“ do stołu.

Malketh był z profesyi introligatorem, a ponieważ miał piękną postawę, ubierał się z gustem i elegancyą, i umiał się znaleźć w towarzystwie, zapraszał go mieszkający w sąsiedztwie bankier S., któremu oprawiał książki, bardzo często do swego stołu, jeźli zasiadało do obiadu trzynaście osób, z których jedna musiałaby umrzeć podług panującego tam zabobonu.

Zawód ten podobał się Malkethemu; zarzucił więc swoję profesyę, ubierał się jak prawdziwy gentleman, i zgłaszał się o pewnej godzinie we wszystkich zamożnych domach, gdzie tylko bywał stół otwarty. Gdy go odprawiono, odchodził z godnością; gdzie go zaś potrzebowano, zasiadał z równą godnością przy stole i jadł z największą spokojnością. Gdy wstano od stołu, otrzymywał od gospodarza domu lub przez służącego szterlinga a czasem i dwa, i odchodził z grzecznym ukłonem.

Chociaż zdarzało się nieraz, że w jednym dniu jadał kilka śniadań lub obiadów i aż do rana brał udział w najwykwintniejszych ucztach, nie cierpiał przecież nigdy na niestrawność. Umarł jednak wcześnie, w 45tym roku życia, bezżenny, i zostawił swój majątek synowcowi.

Podobnie jak Malketh żyje w Londynie jeszcze trzech lub czterech takich gentlemenów, którzy pełnią tylko funkcyę „czternastego“ i nie doznają żadnego niedostatku. U nas praktykuje się także ten przemysł, z tą tylko różnicą, że bezpłatnie, i ludzie tego cechu nie nazywają się u nas „czternastymi“ lecz pieczeniarzami.

(Zamrożenie mózgu.) W najnowszych czasach przedsiębrano rozmaite eksperymenta naukowe na gołębiach. Niedawno czytaliśmy, że można tym biednym zwierzętom wyjąć mózg z głowy, i że mimo to mogą one żyć przy zupełnej bezczynności swoich instynktów. Teraz zaś donoszą, że przyłożeniem jakiegoś eteru do głowy można zamrozić mózg w gołębiu, a mimo to nie ginie on, lecz może żyć dalej w stanie zupełnego letargu. Obadwa wypadki dowodzą, że gołębie są tak szczęśliwe, iż nie potrzebują wcale mózgu.

Czy tak jest w istocie, niechaj to sprawdzą nasi uczeni; my zaś pozwolimy sobie tylko przytoczyć tu anegdotę, którą do wiadomości o tem zamrażaniu mózgu gołębiego przyłącza pewien fejletonista francuski.

„To zamrażanie mózgu— powiada on — nie dziwi mnie wcale. Przypomina mi ono bowiem mojego stryja, który podczas odwrotu z Moskwy był w niebezpieczeństwie dostania się do niewoli. Z całą walecznością oganiał się ten dzielny mąż od nacierających Moskali, aż wreszcie jeden z nich płatnął go

tak silnie pałaszem, że jakby brzytwą odciął mu głowę od karku. Ale cóż się stało? Mróz był tak siarczysty, że wybuchająca krew natychmiast zlodowaciała, i tym sposobem przymarzła głowa do karku. Moskale byli pewni, że on już nie żyje. Ale nieszczęściem był mój stryjaszek wielkim biboszem. Zaledwie ochłonął z tego przestrachu i podźwignął się z ziemi, zobaczył ogień, rozniecony przez markietankę. Pospieszył więc do niej, kazał sobie dać spory kielich gorzałki, którą duszkiem wypił, i usiadł przy ogniu, ażeby się ogrzać. Gorącość ognia działała dobroczynnie na jego członki, ale nagle stoczyła mu się głowa pod nogi i nieszczęśliwy stryjaszek był już nieboszczykiem!“

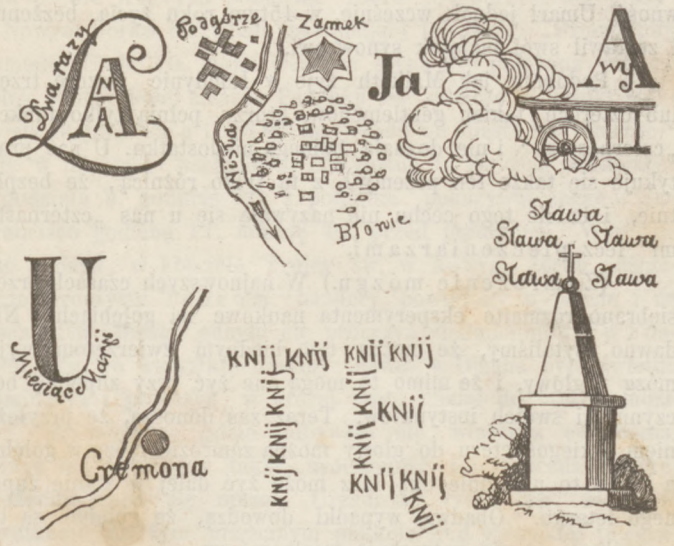
Otóż facecya, godna nawet Radziwiłła Panie kochanku.

ZAPISKI Z BIBLIOGRAFII POLSKIEJ

Z ROKU 1868—69.

Kunicki L. Wędrówki stryjaszka. Warszawa 1869. 81 ct.
Krechowiecki. O życiu i pismach Mich. Grabowskiego Kraków 1868. 75 ct.
Kościoł farny w Żółkwi itd. Lwów 1869 50 ct.
Kalicki B. Zarysy historyczne. Lwów 1869. 2 złr.
Kondratowicz L. Janko Cmentarnik. Lwów 1869. 19 ct.
Książka do czytania dla wyższych szkół elem. Lwów 1869. 54 ct.
Kirszrot. Prawa o procentach. Warszawa 1869. 1 złr. 35 ct.
Leja E. Przegląd kuli ziemskiej. Warszawa 1868. 42 ct.

REBUS.



Rozwiązanie rebusa z IX. zeszytu:

Siedzi kotka pod kanapką,
Myje sobie pyszczek łapką.

Łabęcki H. Słownik górniczy. Warszawa 1868. 3 złr. 48 ct.
Levittoux dr. Głos wobec homeopatów z Lublina. Wars. 1868. 27 ct.
Levittoux H. Zarys filozofii natury. Warszawa 1869. 3 złr. 64 ct.
Léger. Cyrille et Méthode. Paris 1868. 1 tal.
Lewandowski J. H. Pogląd naukowy na wściekliznę psów. Warszawa 1869. 51 ct.
Łapiński J. Geometrya zastosowana do rękodzieł. Warszawa 1868. 1 złr. 32 ct.
Listy Stan. Żółkiewskiego 1584 — 1620. Kraków 1868.
Langie K. O dobroczynności. Kraków 1866.
Łuczkiewicz H. dr. O hemoroidach. Warszawa 1869. 1 złr. 8 ct.
Mayersohn Malw. Dawid. Obrazek. Warszawa 1868.
Mickiewicz A. Pisma. IV. Paryż 1868.
Marlitt E. Złota Elżunia. Powieść. Warszawa 1868.
Miłkowski J. Ciężka próba. Komedya. Warszawa. 1868. 29 ct.
„ O chlebie i wodzie. Krotochwila. Warsz. 1868. 29 ct.
Maciejowski W. A. Historya dawnych polskich miar i wag itd. Warszawa 1868. 42 ct.
Malinowski F. Odpowiedź na Małeckiego rozprawę o spółgłosce j. Poznań 1868. 40 ct.
Mierosławski L. Powstanie nar. pol. 1830. V. Paryż 1868. 6 złr.
Macé J. Arytmetyka dziadunia. Kraków 1869. 1 złr. 20 ct.
Mikulski F. Opis Krakowa. Kraków 1868. 1 złr.
Machczyński K. Pogląd historyczny na sądownictwo ludowe. Warszawa 1869. 91 ct.
Meyne-Reyd. Wygnańcy w lesie. Warszawa 1868. 1 złr. 82 ct.
Michaud Ks. Przedmioty rozmyślań dla młodych osób. Toruń 1868. 1 złr. 80 ct.
Nałęcz A. (Grochowalski Adolf). Góral. Pow. Lwów 1869. 1 złr. 50 ct.
Nowakowski J. F. Ambroży Grabowski. Warszawa 1869. 98 ct.
Niemcewicz. Pamiętnik czasów moich. Lipsk 1868. Brockhaus. 1 złr. 80 ct.
Nowosielski T. Bajki, powiastki, wierszyki. Warsz. 1868. 1 złr. 62. ct.

SZARADY.

I.

Pierwsza z drugą mówić może
O niepewnych barw kolorze;
Druga z trzecią gdy z serca i rozumu płynie,
Pomaga w niepewności i smutków godzinie.
Wszystko o dowcip się kusi,
Do namysłu chwilkę zmusi.

II.

Pierwsza i druga rosną w ogrodzie;
Pierwsza i trzecia w nazwie zdrobniałej
Da zwierzę całe.
Wszystko zaś razem w naszym narodzie
Daje sławnego mądrością człowieka
Jeszcze z pietnastego wieka.

Znaczenie szarad w IX. zeszycie:

1. Podole. — 2. Faraon.

Druga część „BEZIMIENNEJ“ jest już w handlu.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyę F. H. RICHTER.

Z DRUKARNI NARODOWEJ W. MANIECKIEGO.